

PREZENTUJEMY

Ks. Bogusław ILENDER. Urodził się w Warszawie 6.11.1922 r. Studia seminaryjne rozpoczął w czasie wojny. Święcenia kapłańskie przyjął w 1945 r. Do 1994 r. był profesorem na wydziale Teologicznym PAT w Warszawie. Należał również – m.in. – do zespołu redakcyjnego Katechizmu Kościoła Katolickiego.



Dzieciństwo

Ono nie jest dziecinne...

jest poważne –
jak spojrzenie dużych oczu dziecka
otwartych aż do głębi małego serca
które kocha wiernie

jak dotyk małej dłoni dziecka
gdy bierze za słowo
obietnicę podanych rąk dorosłych

jak żal i łzy rozstania z tymi
co odchodzą bez niego...

Goty

Ku górze
w światło
w przestrzeni nieba sięgnąć
bielą kamiennego kwiatu sklepienia
strzałą budowy ponad ludzką miarę

i kolorem wśród cienia zachwycić
napełnić uwielbieniem
tęsknotą ku Niemu
dziękczynieniem
za nieskończone Jego piękno

za dar radości
i zjednoczenia z Nim
wśród milczenia...

Chwila

Nie teraz – to wczoraj było
nie teraz – to jutro nadejdzie
i nie jest teraz to co dzisiaj
bo wciąż przemija
ulotna chwila

Tylko On Jeden jest
dzisiaj i teraz
nieporuszony
i zawsze w czynie trwa nieodmierne
On – wieczna Chwila

Za krótko

Za krótko żyć
aby to jedno słowo
wypowiedzieć sobą
aż do końca

za krótko
aby wypełnić

POWŚCIĄGLIWOŚĆ
I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – ks. B. Ilander 2
- PRZYŚWIECAĆ NADZIEJĄ – ks. M. Gładysz CSMA 3
- LIST DO REDAKCJI – J.E. Józef Kardynał Glemp 4
- PAN JERZY – Redakcja 4
- PORTRET KSIĘDZA – B. Fedyszak-Radziejowska 5
- OJCIEC NARODU – rozmowa z M. P. Romaniukiem 7
- FARYZEJSKA TROSKA – J. Pruszyński 9
- LĘK – M.M. 10
- KOMU PRZESZKADZAJĄ KURDOWIE – A. W. Pawluczuk 11
- BRUDERSZAFTY – J. Wegner 12
- DRUŻYNY SPORTOWE ZAMIAST GANGÓW – I. Sikora 13
- MICHALICI – Duszpasterstwo Powołań 14
- PIEŚŃ BEZ KOŃCA – H. Oleschko 15
- FRANCISZKANKI MISJONARKI MARYI – rozmowa z ss.: I. Glistą, A. Miśkowiec i A. Pastuszak 17
- DZIECI ZAMOJSZCZYŹNY – C. Bunikiewicz 24
- NA KÓŁKACH Z UŚMIECHEM (cz. 2) – M. Malinowska-Orfinger 26
- POETKA NA WYGNANIU – R. Brzezińska 29
- NAJMŁODSI PRZY OŁTARZU – E. Zdanowicz 30
- PRAWDZIWA MĄDROŚĆ – A. Sokół 31
- SKUP ZŁOMU – Żuk 32
- PRZYKAZANIE PIERWSZE – M. Szreder 33
- PLAMY NA SŁOŃCU – S. Michalkiewicz 33
- NATURA JEST – J. Trammer 34
- BÓL – P. Skórzyński 34
- MALCZEWSKI ZE LWOWA – J. Kossakowski 35
- SUKCES NIE KLĘSKA – S. Niesiołowski 36
- NOWA PROPAGANDA SUKCESU – M. Klecel 37
- MISTRZOWIE ŻYCIA – ks. B. Markowski CM 39
- ODNOWIONY RÓŻANIEC NMP – rec. M.G. 39

FOT. OKŁADKA I II – G. Gałązka

Numer zamknięto 18 stycznia 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz



Przyświecać nadzieją

Niewątpliwie nad całym miesiącem lutym dominuje święto **Ofiarowania Pańskiego** – u nas w Polsce (tradycyjnie) – Matki Bożej Gromnicznej.

Kościół posoborowy ekspozuje złożenie Bogu daru przez Maryję i Józefa z największej miłości swego życia – Dziecięcia Jezusa. Motyw ofiary przewija się przez wiele kart Biblii. Od ofiary Abła po ofiarę Golgoty. Starobiblijna Anna, żona Elkany, modląc się o syna, jakby odchodziła od zmysłów, do tego stopnia, że świadek tego zdarzenia – arcykapłan Heli – sądził, iż ona po pijanemu bredzi. Gdy jednak Bóg przychylił się do prośby Anny, urodziła synka – Samuela – natychmiast przyszła znów do domu bożego i ofiarowała Samuela Bogu na służbę. – *To właśnie o to dziecię modliłam się, gdy myślałam Panie, że jestem pijana.* – mówi arcykapłanowi – *Sam Bóg obdarzył mnie tym dzieckiem, więc teraz ja oddaję go Bogu na służbę...*

Znamy historię Samuela, jego rolę w dziejach Izraela, porównywalną chyba jedynie z rolą samego Mojżesza. Został poświęcony Bogu. I występował w imieniu Boga. Był sprawiedliwym, wiernym sługą Pana. Nazywano go mężem Bożym.

Nie bez powodu Kościół posoborowy dzień **Ofiarowania Pańskiego** uczynił **Dniem życia konsekrowanego**, dniem modlitwy za tych wszystkich naszych braci i nasze siostry, których dotknęła łaska konsekracji, poświęcenia, *ofiarowania na służbę Panu*. Modlimy się, by ludzie, na których spoczęła łaska powołania, mieli odwagę zaufać nadziei – jak Abraham, jak Maryja, i wyrzekli to swoje *fiat* ochotnym sercem. Ale konsekracja, w jakimś sensie, dokonuje się w każdym sakramencie. Bo w każdym z nich *rządzi* tajemnica daru, ofiary, zawierzenia, oddania. Także w małżeństwie: ze względu na definitywne obdarowanie się sobą małżonków – danie siebie na służbę...

Tak więc póki żyjemy, jesteśmy dziećmi nadziei. Czasem zmierzamy przez *ciemną dolinę*, ale mamy światło przewodnie prowadzące na drugą stronę doliny, gdzie nadzieja nie będzie już zagrożona lękami i rozpaczą...

Po każdej próbie nadziei rośnie także miłość, która jest jakby zadatkami nieba. Bo *niebo nie przychodzi znikąd* – jak mówił ks. J. Tischner – *coś z nieba mamy w sobie...*

Trzeba dzielić się tym niebem. Ktoś może dla mnie być naprawdę *cząstką nieba*. Niestety – może też być przedsiönkiem piekła. Bowiem starzec Symeon wiedział, co mówi, gdy wyrokował o Dzieciątku Jezus ofiarowanym w świątyni: *...ten będzie na powstanie i na upadek wielu...*

Chyba nie ma w dzisiejszym świecie rzeczy ważniejszych dla chrześcijanina niż dawanie ludziom nadziei... Przyświecać. Jak gromnica.



Warszawa, dnia 27 grudnia 2002 r.

Wielebny Księżu Redaktorze

Pragnę wyrazić wdzięczność za pomoc i wsparcie udzielone przez miesięcznik *Powściągliwość i Praca* w przygotowaniu i przeprowadzeniu *Dnia Papiesskiego 2002*.

Dzień Papiessi wszedł już na stałe do kalendarza polskiego Kościoła i społeczeństwa, ogarnia rzesze Polaków w kraju i za granicą i zyskał błogosławieństwo Ojca Świętego.

Dziękując Księdzu za osobiste zaangażowanie i życzliwość pragnę jednocześnie przekazać gorące podziękowanie dla wszystkich członków Redakcji, którzy włączyli się w akcję *Dnia Papiesskiego*. Wierzę, że nie zabraknie tej życzliwości także w październiku 2003 roku, gdy będziemy obchodzić *III Dzień Papiessi* i świętować 25 lat pontyfikatu Papieża Polaka.

Życzę wszelkiego dobra i pomyślności w Nowym 2003 roku.

Z wyrazami szacunku

Józef Kardynał Glemp
Przewodniczący Konferencji Episkopatu
Prymas Polski

Pan Jerzy

Jerzy Piechowski... Arystokrata z urodzenia i z ducha. *Arbiter elegantiarum* sierniejskiej peerelowskiej codzienności i żarliwy krytyk etycznej mamości, tak zwanych *postępowych idei*, którymi obecnie, w imię źle rozumianej wolności, pragnie zastąpić się prawdą **Dekalogu**. Wybitny pisarz, autor ponad dwudziestu powieści i zbiorów szkiców krytyczno-literackich, znakomity felietonista, wielki erudyta przed którym historia, szczególnie ta starożytna, nie miała żadnych tajemnic...

Niestety, nie dane już będzie czytelnikom *Powściągliwości i Pracy* zachwycić się mądrością, precyzją myśli i czarem stylu jego kolejnych artykułów przynoszących, zawsze przeniknięte ewangelicznym duchem, poruszające refleksje o współczesnym świecie, o filozofii, o moralności, o sztuce...

Pan Jerzy, tak zwykliśmy zwracać się do niego podczas redakcyjnych spotkań i rozmów, zmarł 12 stycznia br. w wieku niespełna sześćdziesięciu siedmiu lat...

Właściwie całe życie poświęcił literaturze, a ten, jakże często dla pisarzy okrutny żywioł, również i Panu Jerzemu potrafił okazać swą wdzięczność. Opowiadania i szkice już publikował będąc studentem Wydziału Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, zaś pierwszą powieść, zresztą bardzo dobrze przyjętą przez krytykę pt. *Cień sprawy* wydał mając zaledwie dwadzieścia sześć lat, w roku 1962. Jako, że jego talent poparty był niezwykłą pracowitością, to następne tomy prozy, na kartach których stawał pytania o najbardziej zasadnicze moralnie kwestie – o uczciwość, wierność, honor, odpowiedzialność, patriotyzm – poczęły ukazywać się z dwu-trzyletnią regularnością. Szczęśliwie bowiem udawało się też temu niezwykle artyście kolorystem narracji zwozić cenzorskie urzędy, tak aby nie dostrzegaly, iż ubrane w antyczne szaty jego opowieści to niejednokrotnie nic innego jak zakamuflowane rozprawy o niegodziwości wszelkich totalitaryzmów i upodleniu, jakie niesie polaciom Europy, barbarzyńska ideologia komunizmu.

Mieliśmy honor gościć Jerzego Piechowskiego na łamach *Powściągliwości i Pracy* przez prawie dekadę. Trudno uwierzyć, że nie przyniesie już nam wycichłych maszynopisów. Nieodgadnione są jednak Boskie wyroki...

Redakcja PIP

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Zainteresowanie socjologów procesem integracji Polski z UE przyniosło wiele ciekawych sondaży, których wyniki pozwalają lepiej poznać oraz zrozumieć sytuację, a także poglądy różnych grup społecznych. Dzięki badaniom **Instytutu Spraw Publicznych (ISP)** pt.: *Stosunek duchowieństwa parafialnego do integracji europejskiej*, zrealizowanym w terenie przez **OBOP** na przełomie października i listopada 2002 roku (na reprezentatywnej próbie imiennej 300 proboszczów i 300 wikariuszy z 126 parafii miejsko-wiejskich, 155 miejskich i 318 parafii wiejskich) poznaliśmy nieco lepiej poglądy i sytuację przedstawicieli polskiego Kościoła. Ponieważ 4 lata temu **ISP** zrealizował podobny sondaż, otrzymane wyniki pozwalają na interesujące porównania. Nic dziwnego, że raport zaprezentowany dziennikarzom na konferencji prasowej 7 stycznia 2003 roku wzbudził zainteresowanie, a najważniejsze dzienniki poświęciły mu wiele uwagi. Omawiano przede wszystkim te fragmenty raportu, które dotyczyły stosunku parafialnego duchowieństwa do integracji z UE, a dokładniej powodów, dla których poparcie duchownych dla integracji spadło z 84% w 1998 roku do 59% w roku 2002.

Portret księdza

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Interpretacje badaczy pokazały złożone przyczyny tej zmiany. Jak się zdaje, księża, podobnie jak całe społeczeństwo, zmienili nieco poglądy na *Unię Europejską*. Cztery lata temu dostrzegali w niej wspólnotę wartości europejskich, dzisiaj postrzegają ją jako wspólnotę interesów ekonomicznych, w której decydującą rolę odgrywają państwa najsilniejsze. Stąd zapewne bierze się niepokój badanych o jakość naszego członkostwa. Tym bardziej, że aż 75% badanych księży uważa, że interesy Polski nie zostały w negocjacjach dostatecznie zabezpieczone i można było osiągnąć więcej (przypomnijmy, że badanie zrealizowano przed szczytem w Kopenhadze).

Z drugiej zaś strony – zwiększyło się przekonanie badanych, iż integracja z UE może przynieść zwiększoną presję na zmiany w polskim prawie w kierunku zgodnym z *liberalnymi* trendami w UE – legalizacją eutanazji, związków homoseksualnych, czy też rozszerzenie warunków dopuszczalności przerywania ciąży. Księża dostrzegają także spadek entuzjazmu dla procesu integracji wśród swoich wiernych, a będąc blisko parafian, przede wszystkim tych, mieszkających na wsi, towarzyszą im w ich obawach i niepokojach.

Ważnym jest jednak samo stosunku duchownych do procesu integracji,

aż 96% badanych zamierza wziąć udział w referendum (76% weźmie w nim udział *na pewno*), a 59% zgłasza *tak* dla integracji, 20% – *przeciw* a 22% jeszcze nie wie, jaką decyzję ostatecznie podejmie. Wiele wskazuje na dużą wiarygodność tych danych. W sondażach realizowanych na próbach ogólnopolskich Polacy deklarują zwykle znacznie niższą frekwencję wyborczą, a i te nie realizują w praktyce. Niezależnie jednak od tej kwestii – stosunku księży do integracji Polski z UE, warto zaprezentować te fragmenty raportu **ISP**, w których poznajemy nieco bliżej naszych księży i wikariuszy oraz życie religijne ich parafian. Ten obraz wyraźnie odbiega od stereotypowych wyobrażeń, dlatego warto poświęcić mu nieco więcej uwagi, problem integracji odkładając na później, może na kolejny felieton.

Jacy więc są polscy księża pracujący w parafiach, a więc na samym dole struktury hierarchicznej naszego Kościoła?

Większość pochodzi ze wsi (55%) i małych miast (20%) – tu zaskoczę nieco moich rodaków, bowiem wbrew potocznym wyobrażeniom – badani księża stanowią znakomicie wykształconą elitę Polski. Poza obligatoryjnym wyższym wykształceniem uzyskanym w seminarium, co trzeci ksiądz (32%) ma ukończony dodatkowy kierunek stu-

diów, co znacznie przewyższa ogólny poziom wykształcenia polskiego społeczeństwa. Badani księża – przypominam, pracujący w parafiach – dużo podróżują po świecie, tylko 5% badanych nigdy nie było za granicą. W 2002 roku aż połowa spośród nich wyjeżdżała z Polski. Blisko trzy czwarte duchownych zna języki obce, najczęściej niemiecki i angielski. Aż 55% korzysta z internetu, podczas, gdy *średnia internautów* w naszym społeczeństwie wynosi 17%.

Zdecydowana większość badanych księży deklaruje prawicowe poglądy, duże lub średnie zainteresowanie polityką oraz przywiązanie do demokracji. Zadowolenie z jej obecnego kształtu w Polsce wyraża nieco mniej, bo 52% badanych księży, ale wśród osób z wyższym wykształceniem zadowolonych z polskiej demokracji jest tylko 25% badanych.

Księża czytają codziennie przede wszystkim *Nasz Dziennik* (50%), podczas, gdy cztery lata temu najczęściej czytany dziennikiem było, niestniejące dzisiaj, *Życie* (48%). Co piąty ksiądz czyta *Rzeczpospolitą*, a prawie co trzeci – *Gazetę Wyborczą*. Ponad połowa badanych (52%) czyta regularnie *Niedzielną*, 33% – *Gościa Niedzielnego*, 17% – *Wprost*, 16% – *Newsweeka*, a 14% – *Tygodnik Powszechny*. Najbardziej popularne wśród księży jest



fot. P. Żywieński

Radio Maryja, codziennie słucha go 22% badanych, (cztery lata temu 33%), kilka razy w tygodniu – 28% i kilka razy w miesiącu – 16% księży. Z podobną, ale nieco mniejszą częstotliwością słuchany jest program **I Polskiego Radia** (codziennie 23%), kilka razy w tygodniu – 15%. Mniej więcej 30% – 40% księży słucha także **Radia Watykan**, **Radia Plus** oraz lokalnych rozgłośni **PR** i diecezjalnych rozgłośni katolickich mniej więcej tyle samo – **Radia Zet** i **Radia RMF**. Tak, w świetle badań, wygląda portret polskiego proboszcza i wikariusza.

Jak, wedle opinii badanych księży, wygląda polska parafia i jej wierni?

Okazało się, że nasze parafie są siedzibą wielu wspólnot i organizacji religijnych. W co drugiej (48%) działa **Ruch Światło-Życie**, w co trzeciej – **Grupy Różańcowe**. **Odnowa w Duchu Świętym** jest obecna w 25% parafii, **Akcja Katolicka** – w 22%, a **Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży** w 21%. Ważne wydaje się, że **stałą działalność charytatywną** prowadzi aż 74% parafii badanych w 2002 roku.

Dodajmy, że w co dziesiątej parafii działają także **Wspólnoty Neokatechumenalne** oraz **Rodziny Nazaretąńskie**, w co ósmej – **Przymierze Rodzin**, a w co dwunastej – chór parafialny, schola lub orkiestra. Tak rozbudowane życie wspól-

not parafialnych nie oznacza, że księża uważają, że ich parafianie wyróżniają się jakąś szczególną religijnością na tle całego społeczeństwa. Swoich parafian za **znacznie bardziej religijnych niż ogół Polaków** uważa tylko 10% badanych księży, za **niewiele bardziej religijnych** – 22%. Większość – 57% badanych – sądzi, że religijność ich parafian **jest taka sama jak wszystkich Polaków**.

Oceniając zmiany religijności w ostatnich 10 latach, większość księży (57%) sądzi, że nie uległa ona większym zmianom, część (21%) uważa, że religijność parafian spadła, część (12%), że wzrosła. Interesujące wydaje się, że zdaniem 42% badanych księży spadek religijności objął **ogół polskiego społeczeństwa**, jednak pytani o własnych parafian księża dostrzegają taki spadek religijności dwa razy rzadziej. Dlaczego? Może przyczyna tkwi w sile medialnego przekazu, w którym **poliska religijność wciąż spada i spada**. A może, jak sądzą inni, religijności parafian to rezultat pracy samych księży, łatwiej więc widzieć dobrą, a nie złą stronę życia religijnego własnej parafii? Pamiętajmy jednak, że księża dysponują wiedzą empiryczną – liczbą wiernych na Mszach św., aktywność we wspólnotach, praktyki religijne...

Nie wiem, która interpretacja jest bliższa prawdy. Wiem jednak, że porów-

nując Kościół w Polsce z Kościołem katolickim w krajach **UE**, nasi księża są głęboko przekonani, że to my mamy wiele do zaoferowania katolikom w **UE**. Ich zdaniem warto, by z naszych doświadczeń przejęli przede wszystkim: – pobożność, duchowość, siłę i głębokość wiary, a także religijność ludową (29%), – praktyki religijne, uczestnictwo wiernych w sakramentach (21%), – życie według zasad wiary, wierność Ewangelii i nauczaniu Kościoła (20%), – styl duszpasterstwa i zaangażowanie polskich księży (18%), – wierność i przywiązanie do tradycji, dystans wobec nowinek (16%).

Ta lista pokazuje, jak dalece polscy duchowni cenią Kościół w Polsce za wierność Ewangelii, sposób prowadzenia ewangelizacji, za tradycyjne (i nie tylko) formy pobożności, za sposób przeżywania wiary oraz intensywność praktyk religijnych Polaków. Wydaje się, że badani księża są gotowi poprzeć integrację Polski z **UE** nie tylko dlatego, by uczyć się i wzorować na krajach wspólnoty europejskiej, lecz także po to, by wnieść w życie duchowe ich społeczeństw cenne doświadczenia polskiego Kościoła.

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Dziesięć lat trzeba było, aby dobiegły kresu prace nad edycją, liczącego blisko cztery tysiące stron i ilustrowanego unikalnymi zdjęciami, niezwyklej wartości dzieła, bez znajomości którego trudno będzie obecnie zbudować pełny obraz dziejów Kościoła w Polsce ubiegłego stulecia, jak też wypowiedzieć prawdę o historii naszego narodu w międzywojniu, w czasach okupacji, a przede wszystkim w okresie rządów komunistycznych. Publikacja, o której mowa, to kalendarium **Mariana P. Romaniuka** rekonstruujące – dzień po dniu – biografię i pracę duszpasterską kard. Stefana Wyszyńskiego. Ostatni, czwarty tom pozycji zatytułowanej: **Życie, twórczość i posługa Prymasa Tysiąclecia**, opisujący lata 1972-1981, właśnie trafił na księgarskie lady.

Ojciec narodu

Osobowość i działalność kard. Stefana Wyszyńskiego fascynowały Pana właściwie od zawsze. Zakończenie prac nad kalendarium nazwać więc można spełnieniem marzenia o złożeniu bardzo osobistego hołdu jednemu z największych naszych Rodaków.

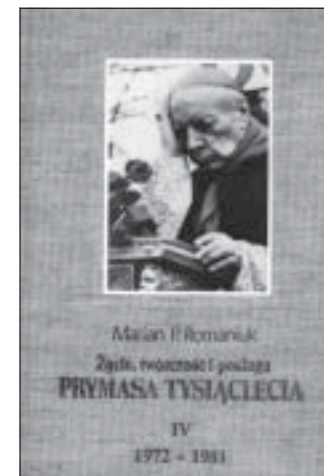
Z postacią Księdza Prymasa zetknąłem się już w dzieciństwie. Mówili o nim wielokrotnie rodzice i dziadkowie. W Szczecinku, gdzie się urodziłem i wychowałem, przysłuchiwałem się też kazaniom o Jego heroicznej postawie, głoszonym przez proboszczów i wikariuszy miejscowego kościoła pw. Narodzenia NMP. Wspomnę przede wszystkim **ks. Szuścika** i **ks. prał. Piotra Zaworę** – wielkiego orędownika i realizatora w naszej parafii **Jasnogórskich Ślubów Narodu** oraz **ks. prał. Anatoła Salagę** – w czasie wojny więźnia Pawiaka, a po wojnie skazańca ludowej władzy. Pamiętam, jak ten ostatni nas – ministrantów – zabierał do ogrodu, abyśmy pielęgnowali hodowane przez niego róże, a potem całymi godzinami opowiadał o swoich wojennych kontaktach z kapelanami **Powstania Warszawskiego** i z samym Księdzem Prymasem pełniącego posługę duszpasterską pośród oddziałów **AK** zgrupowania **Kampinos**. Opowiadał też o Jego aresztowaniu i uwięzieniu, o programach duszpasterskich, które przez lata odosobnienia wypracował.

Muszę też przywołać postać tragicznie zmarłego **ks. kan. Jana Lisa**, nastę-

cy na probostwie **ks. Zawory**. Znał on osobiście Prymasa Wyszyńskiego i to jeszcze z lat przedwojennych. Choć nigdy nie ujawniał tych związków, to nie pamiętam, aby którakolwiek ogłoszona przez niego konferencja, czy jakiegokolwiek publiczne wystąpienie, mogły obejść się bez cytatów z pism Wielkiego Kardynała. Wszystko wydało się w roku 1975, kiedy ten kapłan ze Szczecinka został przez Księdza Prymasa zaproszony do koncelebry Mszy św. uświetniającej poświęcenie nowowzniesionej świątyni pw. bł. Maksymiliana Marii Kolbego w Słupsku. Wielokrotnie z dumą mówił później, że Prymas Wyszyński, jak dawniej, zwracał się do niego po imieniu...

Rozumiem, że z wiekiem Pańskie zainteresowanie postacią Prymasa Tysiąclecia roste coraz bardziej?

Przed wszystkim przyszło zafascynowanie Jego kazaniem. Urzekł mnie język i forma, w jakich wiernym przekazywał swoje niezwykle trafne spostrzeżenia i myśli. Dlatego też mając jeszcze w uszach szczególnie tembr głosu Prymasa, pod koniec lat osiemdziesiątych postawiłem sobie pytania, na które szukanie odpowiedzi długo nie dawało mi spokoju: dlaczego dotychczas nie ma całościowego opracowania i pełnej dokumentacji posługi tego bohaterskiego Kapłana, który nie tylko przekazywał prawdę wiary, lecz także mówił o prawach człowieka, o budowaniu Kościoła domowego, o obowiąz-



kach rządzących wobec narodu? Jeśli zaś podejmę się takiej pracy, to czy jej podołam? Przysięgam, że przychodziły i chwile zwątpienia...

Ma Pan za sobą lata badań, poszukiwań i kwerend w polskich i zagranicznych bibliotekach. Przypomina Pan sobie jakiegokolwiek chwile, kiedy szybciej zaczynało bić Pańskie serce?

Wielkim przeżyciem było z pewnością dotarcie do niedostępnych wcześniej archiwów KC PZPR, które – warto wiedzieć – znajdowały się w podziemiach siedziby dzisiejszego Senatu. Trudno było mi ukryć wzruszenie, gdy w archiwum **MSW** natrafiłem na mikrofilmy odręcznych zapisków Księdza Prymasa wykradzionych z Jego warszawskiej siedziby (w pamiętną noc aresztowania we wrześniu 1953 roku) czy też, kiedy w archiwum **Urzędu do Spraw Wyznań** znalazłem zdeponowany tam oryginał uchwały biurotowskiego rządu nakazujący uwięzienie.

W latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, które przywołuje zamykający kalendarium tom, walka z Kościołem może nie była tak brutalna i bezwzględna, jak za stalinizmu, mimo to jednak wciąż trwała...



Oczywiście. Przybierała tylko bardziej wyrafinowane formy. Jeśli tak można powiedzieć, w centrum zainteresowania partyjnych propagandystów znalazła się przede wszystkim młodzież. Komuniści za wszelką cenę, mając ich wizją życia: *jakby Boga nie było*, próbowali zjednać sobie uczniów, studentów i wkraczających w zawodowe życie robotników. Niejednokrotnie się im to udawało.

Dostrzegając te nieciekawe zamiary i uprzedzając ateistyczną krucjatę, Prymas Wyszyński, co i rusz, słał listy protestacyjne do władz. Jego głos donośnie w obronie religii, rodziny i moralności brzmiał też z ambon kościelnych i w latach siedemdziesiątych, szczególnie na ich początku, Prymas wiele podróżował. Pamiętajmy, że był to czas, kiedy zaczynała obowiązywać bulla papieża Pawła VI ustanawiająca nowe diecezje na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Tak, jak *gospodarskim okiem*, doglądał zmian w administracji kościelnej, tak też z coraz większym niepokojem analizował grożącą wybuchem sytuację gospodarczą i polityczną kraju. Właśnie z troski o przyszłość zrodził się cykl *Kazań świętokrzyskich*, zresztą sfalshowany później za zgodą i z podpisem Edwarda Gierka. Nie milczał też po tragicznych i krwawych wydarzeniach w Radomiu, Ursusie i Płocku latem 1976 roku. Swym autorytetem i doświadczeniem służył również rodzającą się *Solidarność*...

Nic więc dziwnego, że, gdy Prymas Stefan Wyszyński obchodził 75. rocznicę urodzin, jeden z najbliższych Jego współpracowników, wówczas biskup Bronisław Dąbrowski, nie zaważał się powiedzieć: – Jesteś nie tylko ojcem archidiecezji gnieźnieńskiej i warszawskiej, ale i ojcem narodu...

W tym tytule nie ma żadnej przesady! Wprost nie do oszacowania są zasługi, jakie miał On dla naszego narodu. Najdobitniej i najbardziej przekonująco mówił o tym sam Jan Paweł II. Tuż po swym wyborze na piotrową stolicę, zwracając się bezpośrednio do Księdza

Prymasa, stwierdził, iż nie byłoby *tego papieża-Polaka, (...) gdyby nie było twojej wiary nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, twojej heroicznej nadziei, twego zawierzenia bez reszty Matece Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem...*

Całość Pańskiej pracy uzupełnią jeszcze dwa tomy. Co będą zawierały?

Bibliografię – tak przedmiotową, jak i podmiotową. Zamieszczony zostanie tam również wykaz Konferencji Episkopatu Polski, w których Prymas brał udział, nazwiska biskupów, którym udzielił sakry, wykaz figur i obrazów Matki Bożej, które koronował. Znajdzie się tam również pełny zbiór prac naukowych dotyczących tak osoby, jak i myśli Księdza Kardynała. Zarezerwowane też zostało miejsce dla artykułów napaściowych, czy wręcz wrogich wobec Prymasa. Te, jak wiemy, były szczególnie modne w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W sumie będzie to około 1200 stron druku.

Raz jeszcze, gratulując Panu stworzenia tego naprawdę imponującego dzieła, które – jak pisze w słowie otwierającym jego ostatni tom Prymas Polski kard. Józef Glemp – zostało (...) wykorzystane w kolejnych etapach procesu beatyfikacyjnego sługi Bożego Stefana Kardynała Wyszyńskiego, szeroko posługiwali się nim publicyści katoliccy, ludzie nauki i kultury szukający czytelnich drogowskazów na trudne polskie „dziś”, serdecznie dziękuję za rozmowę.

Ja zaś, korzystając z gościnnych łamów *PiP*, pragnę wyrazić swoją wdzięczność edytorowi *Kalendarium* – Instytutowi Wydawniczemu *PAX* i całemu zespołowi redakcyjnemu doglądającemu powstawanie mojej pracy. Nie wiem, czy bez starań i wysiłku takich osób, jak chociażby Ewa Dębicka czy Antoni Podsiad, nie wiem czy w ogóle byłoby możliwe jej ukończenie...

Rozmawiał Paweł Smogorzewski

Wydobywając na światło dzienne fakty i domniemania historyczne dotyczące, nie zawsze chwalebnych obyczajów kleru, dyskryminacji innowierców czy np. procesów inkwizycji hiszpańskiej, nie chcemy pamiętać o wielowiekowych, krwawych prześladowaniach Kościoła i jego duszpasterzy, li tylko dlatego, że wierzyli w Boga, wyznawali swą wiarę i uczyli jej innych. A byłyby to lista nieskończenie długa; od uznanych za świętych męczenników: ukamienowanego Szczepana, ukrzyżowanych apostołów Piotra i Pawła, Andrzeja, Jakuba zwanego Większym – pierwszego biskupa Jerozolimy, ściętego z rozkazu Heroda Agryppy, Jakuba Mniejszego – strąconego z muru świątyni na rozkaz arcykapłana Anana, pierwszych chrześcijan zamęczonych za panowania Nerona, po tysięczne ofiary nowożytnych przewrotów społecznych i ustrojowych.

Antyklerykalizm państwowy

Antyklerykalizm w zorganizowanych formach to dzieło *Oświecenia i Rewolucji Francuskiej*. Poglądy filozofów pozwalały na kompromis z własnym sumieniem. Ponieważ dogmaty wiary nie dopuszczały tego, oskarżono Kościół o nietolerancję, brak wolności i zacofanie, nawołując do jego całkowitego zniszczenia w imię obrony *prawa człowieka i obywatela*. Obchodząc po dziś dzień we Francji kolejne rocznice rewolucji 1789 roku, niechętnie wspomina się krwawe początki *rozdziału Kościoła od państwa* – tysiące księży wandejskich, masowo mordowanych z rzekomej *woli ludu* za ich wierność Bogu i rządzącemu *ex Dei gratiae* władcy, a także iluzję *wolności, równości, braterstwa*, o których – jak zauważył Mickiewicz: *dawno w Pańskim pisano zakonie*.

Podobnie do dziś władze Rosji pomijają milczeniem dokonywane z nakazu władz carskich prześladowania księży i zakonników ziem Rzeczypospolitej, oskarżanych o podburzanie oraz sprzyjanie *polakom buntom*, zakatowanych lub skazanych na wieloletnie zesłanie do Irkucka czy Tunki – zwanej

Jan Pruszyński

Faryzejska troska

Osoby, których stosunek do religii jest niechętny lub zgoła nieprzyjazny wykazują szczególną predykcję do wskazywania przywar, grzechów i wykroczeń, których rzekomo lub w rzeczywistości dopuszcza się stan duchowny – twierdząc w dodatku, że czynią to dla dobra Kościoła, który cechuje pycha i triumfalizm (?), fundamentalizm, antysemityzm itp. Ostatnio pojawia się też zarzut, że księża wykracają się od płacenia państwu należnych podatków, choć są nadmiernie bogaci. Warto zastanowić się nad argumentacją owych reformatorów różnej maści, do których znakomicie pasują słowa – czort w komżę się ubrał i ogonem na mszę dzwoni.



foto: P. Zychowski

osadą polskich księży, męczeństwo unitów oraz ideologicznie uzasadnianą eksterminację duchowieństwa katolickiego przez władze sowieckie. Nader znamienne, że władze komunistyczne, zaprzeczając istnieniu duszy, prowadziły, nie przebieierając w środkach, walkę o rząd dusz. Publiczne przyznawanie się

do wiary w Boga było przestępstwem, a wszelkie dowody wiary pokoleń miały zniknąć z powierzchni ziemi. *Czarna księga komunizmu* nie wyszczególnia jednak kapłanów wśród milionów jego ofiar.

Przemilcza się również zbrodnie na księżach i zakonnikach podczas hisz-

pańskiej *guerra civil* dokonywane w imię obalenia rzekomej władzy kleru. Obawa przed przejściem przez Kościół, nie tyle władzy, ile władztwa nad sumieniami, stała się przyczyną prześladowań księży – zwłaszcza w krajach okupowanych przez hitlerowską III Rzeszę. W obozach koncentracyjnych straciło życie wiele tysięcy księży i zakonników, a patronem ich niezłomnej postawy na zawsze pozostanie św. o. Maksymilian Maria Kolbe.

W Polsce zwanej *ludową* uznano Kościół katolicki za *głównego ideologicznego przeciwnika w budowie socjalizmu*. Próbm jego obalenia i prześladowań księży można byłoby poświęcić obszerne studium opisujące różne formy szantażu, grózb, pomówień oraz dążenia do destrukcji organizacji, która z niedawnej okupacji hitlerowskiej wyszła moralnie wzmocniona.

Antyklerykalizm nowoczesny

Propaganda antyreligijna prowadzona znacznym nakładem sił i środków spowodowała skutki odmiennie od zamierzonych. Demagogiczne argumenty z arsenału marksizmu przeżyły ustrój i dziś używane są zarówno przez otwartych przeciwników Kościoła, jak i przez zwolenników niezbyt jasno definiowanej nowoczesności, nader podobnej do oświeceniowego liberynizmu. Rzekomi reformatorzy głoszą, że: *Kościół jest zacofany, Dekalog przestarzały a księża – nieżywciami*, bo przykazań *nie da się przestrzegać!* Do Kościoła należy chodzić wtedy, kiedy się ma ochotę. Poza tym należy *skasować* spowiedź, która nakazuje opowiadanie jakiegokolwiek lub, co gorsza, *swójemu* księdzu o rzeczech i sprawach, które wolelibyśmy ukryć. Nowoczesność w Kościele – wywodzą – wymaga dopuszczalności używania środków zapobiegających narodzinom dzieci, zgody na usuwanie płodu, rozwodów i *eutanazji* czyli pozabawiania życia nieproduktywnych członków społeczeństwa. Wreszcie – o czym głośno pisze prasa – księża nie powinni być *pasterzami dusz*, bo niektórzy z nich naruszają zasady wiary! Cóż, i to zostało dawno przewidziane ☞

i zapisane przez św. Mateusza Ewangelistę: *Czynicie i zachowujcie wszystko, co wam poleca, lecz uczynków ich nie naśladowajcie.* (Mat. 23,3).

Antyklerykalizm majątkowy i fiskalny

Kościół jest za bogaty, a księżom stanowczo za dobrze się powodzi! Budują sobie nowe świątynie i plebanie, jeżdżą luksusowymi samochodami, dobrze się odżywiają, nie grozi im bezrobocie i... nie placą podatków!

Każde z tych stwierdzeń stosunkowo łatwo obalić. Po pierwsze zniszczenie po długich latach zakazów i ograniczeń wznoszenia budowli sakralnych powoduje, że kościoły powstają – najczęściej tam, gdzie żyją sobie tego wspólnoty wiernych, po wtóre ogólnie ożywienie budowlane widoczne w przesadnych często formach architektonicznych wolnostojących willi przedmiejskich i w zabudowie wsi – to reakcja na przasną codzienność PRL-u z jego *projektami typowymi*, nigdy nie remontowanymi domami *komunalnymi* i *pegerowskimi* czworakami. Dlaczego więc domy parafialne miałyby być inne? Po trzecie owe plebanie, przedszkola i szkoły, biblioteki, instytucje opiekuńcze i charytatywne prowadzone przez Kościół zastępują w działaniu państwo, które powinno prowadzić podobną działalność z tytułu prawa i poboru podatków.

Wreszcie, w przeciwieństwie do jakże licznych obrotowych *przedsiębiorców*, księża rozwijają swą działalność inwestycyjną, religijną i charytatywną przede wszystkim za pieniądze pochodzące z dobrowolnych dotacji wiernych. A w kraju, którego władze nie umieją sobie dać rady z *szarą strefą*, aferami gospodarczymi i wywożeniem kapitału za granicę – placą podatki i to niemałe. Rządowi zwolennicy opodatkowania Kościoła i jego instytucji powinni wiedzieć, że jest on płatnikiem w zakresie nakazanym przez prawo, a ponadto postrzegając, że obciążenie datków wiernych przez fiskusa to przykład podwójnego opodatkowania uznawanego w wielu systemach za naruszenie porządku prawnego.

Jan Pruszyński

go. Natomiast próby oszacowania i opodatkowania majątku Kościoła jako instytucji, jego budowli sakralnych z ich wyposażeniem, dzieł sztuki i zabytków byłyby sprzeczne nie tylko z prawem i przyjętymi porozumieniami międzynarodowymi, lecz także z przesłankami wyznaczanymi przez znaczną część katolickiego społeczeństwa.

Antyklerykalizm intelektualny i antyklerykalizm prymitywny

Niemało jest osób poddających *miążdżącą krytykę* kler katolicki, rzekomo gorzej od nich wykształcony, choć nie da się udowodnić, że maturzysta po liceum jest wykształcony lepiej niż ksiądz po seminarium duchownym, że magister po wyższej szkole pedagogicznej czy ekonomicznej przewyższa wiedzą absolwenta *Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego* czy *Uniwersytetu Stefana Wyszyńskiego*, że magister praw po studiach w tych uczelniach jest gorzej wykształcony od prawnika kończącego studia w *punkcie konsultacyjnym* nowo założonej szkoły wyższej. Co najwyżej można stwierdzić, że jedni z nich są zdolniejsi, inni mniej zdolni, jedni przykładają się bardziej, inni mniej do nauki, wreszcie jedni otrzymują więcej, a inni mniej darów Ducha Świętego. Jeżeli więc ksiądz podczas kazania wykazuje nieznaną inżynierii genetycznej, lotów kosmicznych, ekonometrii, językoznawstwa porównawczego czy topologii to krytyce tych jego braków – brak sensu.

Nie mniej liczni są jednak ci krytycy, którym braki w ich własnym wykształceniu nie przeszkadzają w głośnym wyrażaniu poglądów na temat wiary i moralności, podobnie jak tych dotyczących polityki, medycyny i gospodarki. Odmawiają zaś tych praw księżom.

A więc skąd i po co ten cały antyklerykalizm czy raczej faryzejska troska o Kościół? Odpowiedź prosta: *Uderzę pasterza, a rozproszą się owce* (Mar. 14,27) i właśnie o takie rozdarcie wspólnoty wiernych idzie.

SŁOWNIK OD „Z” DO „A”

Lęk

Żyjemy w wieku niepewności i lęku. Ludzkość ogłasza prognozy losów wszechświata, a jednocześnie powszechnie zaczynamy każde zdanie od: *Wydaje mi się...* Nikt nie ośmiela się mieć racji. Niepokój indeterminizmu rodzi tęsknotę za zaufaniem. Ucieczka od prawdy rodzi podobną tęsknotę za fundamentem. Świadomość niewiedzy rodzi frustrację albo otwiera nas na tajemnicę, a niekoniecznie zmusza do rezygnacji z prawdy i fundamentu.

XX-wieczna apoteoza lęku niebawem umrze. Oto bowiem według Hansa Jonasa, filozofa, gnostyka i proroka klęsk, *lęk dotąd uznawany za słabość ma się stać przedmiotem dumy, a jego kultywowanie obowiązkiem*. Katastroficzne przepowiednie Jonasa i jego posępnych towarzyszy nie sprawdzają się. Ocieplenie klimatu, rzekomy niedostatek surowców naturalnych, przeludnienie... Straszaki! Pochwała lęku w praktyce zaś okazuje się przede wszystkim ucieczką od namacalnej rzeczywistości ku wymyślanym projekcjom.

Coraz częściej nasze małe, codzienne przewidywania się sprawdzają. Codziennie niesie też średnio rzecz biorąc coraz mniejsze zagrożenia. Ryzyko biedy dla znacznej części ludzkości oznacza wyłączenie gazu i wizyte komornika, a nie śmierć z głodu. Grypa nie jest już chorobą śmiertelną. Rak atakuje co piątego spośród nas, ale taka sama część populacji umierała niedawno po prostu we wczesnym dzieciństwie i nie dożywała wieku, kiedy zapada się na raka. Postęp ludzkości usuwa źródła lęku. Ale przede wszystkim mamy Boga, który dba o swoje dzieci i mieszkańcy świata na nowo to odkrywają. Postęp jest dobrym lekarstwem na lęk, lecz najlepszym lekarstwem na lęk jest wiara.

MM

SAMOTNY BÓJ O PRZETRWANIE

O Czechenach, walczących od ponad pół wieku o niepodległość, wiemy sporo. Ich powstanie przeciwko Rosji, wzniecone tuż po upadku ZSRR, jest głośne w świecie, a samotna walka, jaką prowadzą bez powodzenia, zyskała poparcie światowej opinii publicznej. Jednak rządy, które mogłyby wymusić na Rosjanach zaprzestanie eksterminacji tego narodu, milczą. Ale taka jest – niestety – polityka. Mocarstwa nie interweniują tam, gdzie nie widzą dla siebie interesu. Tak było przed laty w Kambodży i Rwandzie, gdzie wymordowano miliony ludzi.

Komu przeszkadzają Kurdowie?



Samotny bój o niepodległość, podobnie, jak Czecheni, toczą od kilku wieków Kurdowie, o których świat przypominał sobie przy okazji amerykańskich planów wojny z Irakiem.

Tylko w odróżnieniu od Czechenów mają oni nie jednego, ale czterech okupantów, albowiem Kurdistan, podobnie jak Polska dwieście lat temu, podzielona jest pomiędzy zaborców.

Zadziwiający że Polacy, dotkliwie doświadczeni przez historię dwóch wieków, tak mało wiedzą o narodach, których los jest o wiele bardziej okrutny. Kiedy przeprowadziłem ankietę w maturalnej klasie renomowanego liceum w Warszawie, na trzydziestu dwóch uczniach tylko pięciu wiedziało, że Kurdowie *mieszkają gdzieś w Azji*, ale nikt już nie miał pojęcia, że jest to indoeuropejski naród (a więc spokrewniony, m.in. z Polakami, Niemcami i Francuzami) o tysiącletniej kulturze. Fakt, że nigdy nie mieli własnego państwa, wy-

podległego Kurdystanu.

Zbieżność z losem Polski nie jest tu przypadkowa. Sojusznikom chodziło o osłabienie Turcji, która walczyła po stronie Niemiec, toteż zagrano *kartą Kurdyską* w celach wyłącznie politycznych. Jeszcze traktat zawarty w 1921 roku w Sévrès przewidywał utworzenie państwa kurdyjskiego, ale już dwa lata później zdecydowano w Lozannie o nowym podziale Kurdystanu pomiędzy Turcję, Iran i Irak. Turcy, którzy uznawali wcześniej etniczną odrębność Kurdów, ogłosili teraz oficjalnie, iż nie są oni odrębnym narodem i nazwali ich *Turkami górskimi*. Nie tylko zakazano wydawania kurdyjskich gazet i zlikwidowano kurdyjskie szkoły. Zakazano publicznego używania języka kurdyjskiego i zaczęto na wielką skalę wynaradawianie Kurdów. Rozpoczęły się także masowe przesiedlenia Kurdów na tereny etniczne tureckie. Odpowiedzią zdesperowanego i prześladowanego narodu były liczne powstania, które wojska trzech zaborców bezwzględnie tłumili, dopuszczając się ludobójstwa. Chodziło bowiem o *ostateczne rozwiązanie* kwestii kurdyjskiej, zaś eksterminacja na masową skalę wydawała się sposobem najszybszym i najszybszym. Na ziemi Kurdów odkryto olbrzymie złoża ropy naftowej, a kiedy w grę wchodziły wielkie pieniądze i strategiczne interesy mocarstw, takie hasła jak wolność i prawo narodów do samostanowienia chowane są do lamusa. Kurdowie byli potrzebni, kiedy trzeba było pokonać Turcję. Teraz, gdy mogli zgłosić roszczenia do bogactw znalezionych pod ziemią, stali się zawadą.

Andrzej W. Pawluczuk

IN FLAGRANTI

W pierwszych dniach nowego roku uwagę polityków, publicystów i opinii publicznej zaprzętnął nowy temat: oto Adam Michnik ujawnił, że Lew Rywin namawiał go do korupcji, na co podobno miał się zgodzić premier.

Zawrzało. Sejm powołał komisję śledczą do zbadania tego strasliwego przestępstwa. A w mediach nadto oburzenie i łkanie, że *ujawniona afera Rywina stanowi jedno z najważniejszych wyzwania dla polskiej demokracji*.

Ten frazes w różnych składniowych i leksykalnych odmianach powtarza wiele poważnych, opiniotwórczych gazet, które domagają się ukarania winnych. Nawet Piotr Wierzbicki, podobnie jak trochę wcześniej wobec niezbyt moralnie jasnej kampanii medialnej przeciw **Radiu Maryja**, zamiast zachować docieklivość zdystansowana, publikuje na łamach swej **Gazety Polskiej** artykuły roztrząsające jedynie *afery Rywina*, tak jakby nie było w niej jeszcze drugiej...

Identycznie redaktor naczelny **Rzeczpospolitej** pyta w numerze 9 z br.: *Co znaczyła propozycja Rywina? Kim jest grupa trzymająca władzę, na którą się powoływał? Co się działo między lipcem, gdy odbyła się rozmowa Rywina z Adamem Michnikiem, a grudniem, gdy Gazeta Wyborcza zdecydowała się na ujawnienie sprawy? Co z tym wszystkim wspólnego ma premier Leszek Miller? (...) I konkluduje – w tej sprawie nie ma niedopuszczalnych pytań. Ani obywateli poza wszelkimi podejrzewaniem... Wielka racja. Szkoda więc niepowetowana, że naczelny **Rzeczpospolitej** nie drąży dalej i nie pyta na przykład: dlaczego kol. redaktor Michnik opublikował donos na Rywina? Jaki miał cel w powiadomieniu opinii publicznej a nie organów ścigania o tym, co podobno zaproponował mu Rywin, jego dotychczasowy jeśli nie przyjaciel to na pewno bardzo bliski znajomy? Czy*

Michnik w całej tej sprawie, zdaniem red. nac. **Rzeczpospolitej**, jest *poza wszelkimi podejrzeniami?*

Jedynie **Tygodnik Solidarność** miał odwagę podjąć ten wątek. Teresa Kuczyńska napisała bowiem w artykule *Kupię – sprzedam ustawę* (nr 2 z br.), że tutaj *nie wiadomo jednak, czy chodziło naprawdę o pieniądze, czy o skompromitowanie przez Michnika Millera przy pomocy Rywina i wymuszenie ustawy w pożądanym kształcie* (podkr. – J. W.).

Bruderszafty

Jacek Wegner

Kiedy Adam Michnik, już właściciel **Gazety Wyborczej**, został w roku 1989 posłem, mawiał swym bliskim znajomym, że wkrótce będzie *rzadzić tym krajem*. W programie politycznym pierwszego premiera rządu III RP Tadeusza Mazowieckiego, przenośnie określonym mianem *grubej kreski*, widać myśl Michnika o zacieraniu różnic między prześladowanymi a prześladowanymi, między czerpiącymi w PRL profity ze swych orientacji politycznych a dyskryminowanymi przez nich wyznawcami odmiennych wartości politycznych. *Gruba kreska* umożliwiała bowiem byłym pezetpeerowcom i ich klientom uwłaszczenie się, a więc odpechnięcie od kapitału tych, którzy nie byli w owych układach partyjnych. A do uwłaszczających się doskoczyło u samego zarania III RP wielu dawnych opozycjonistów peerelowskich o poglądach lewicowo-ateistycznych. Między innymi właściciel **Gazety Wyborczej**, superbusinessmen *in statu nascendi*.

On też sprawiał, że lustracja od samego początku stawała się karykaturą idei oczyszczenia kraju ze zła w nim zagnieżdżonego. I jego publiczne bru-

derszafty z demonami PRL – Jaruzelskim, Kiszczakiem, Urbanem oraz mniejszymi osobistościami tamtego establishmentu – ostatecznie zniweczyły linię demarkacyjną oddzielającą ofiary i oprawców, tym samym zdezorientowały opinię publiczną. Dzisiaj sam Stefan Bratkowski, publicysta docieklivy a polityk łatwowierny, przyznaje, że nie rozumie tych bruderszaftów.

Teresa Kuczyńska, w przywołanym powyżej tekście, oprócz możliwości wymuszenia ustawy w pożądanym kształcie sugeruje jeszcze jedną – kompromitację Leszka Millera. A ta korzyść ułatwiałaby, być może, spełnienie zamierzeń prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który od pewnego czasu niezbyt przepada za swym ekspartyjnym kolegą sprawującym funkcję prezesa Rady Ministrów

i chciałby poza jego lobby w SLD utworzyć partię centrową; *powstanie formacja* – pisze Łukasz Perzyna w tym samym numerze **Tygodnika Solidarność** – *sytych i zadowolonych beneficjentów transformacji ustrojowej*.

A **Agora**, spółka wydająca **Gazetę Wyborczą** (w której ma udziały również luminarz naszego filmu Andrzej Wajda) wskutek afery z Rywinem, zainicjowanej przez Michnika, może uzyskać bez przeszkód koncesję na najpopularniejszą stację telewizyjną. Wyrośnie nowe imperium, które ułatwi Michnikowi dalsze spełnianie zamiaru, artykułowanego przed czterema laty w grobie bliskich mu współpracowników, o kształtowaniu losu Polski.

Pęd ludzi do bogacenia się i zyskiwania autorytetu społecznego, tym samym wpływu na życie publiczne jest oczywiście najnaturalniejszym imperatywem każdej zdrowej fizycznie i moralnie jednostki, pobudza postępowanie cywilizacyjny. Wszelako jakimi sposobami? Za pomocą manipulowania opinią publiczną, bruderszaftami z ludźmi, których naród oskarża o wyrządzone i wyrażane mu zło? ■

Izabela Sikora

Drużyny sportowe zamiast gangów

Na ulicach warszawskiego Śródmieścia często spotykam młodzieńców zbierających pieniądze do puszki. Spacerują Nowym Światem, Chmielną lub Ordynacką i zbolalym głosem proszą przechodniów, *żeby wspomogli biedne dzieci z domu dziecka*. – *Proszę pani, zbieram na biedne dzieci z Domu Dziecka – zapewnia młodzieniec*. – *Sam też jestem z domu dziecka* – dodaje ze smutkiem. – *Dlaczego nie jesteś w szkole, na lekcjach?* – pytam z troską. – *Chodzę do szkoły wieczorowej – zajmiam młodzieniec*. Jest to możliwe... chociaż na ulicy widzę go od kilku lat. Z kolegami i z puszką na biedne dzieci.

Wrzucamy do tych puszek pieniądze. Domy Dziecka dostają z budżetu niebagatelną sumę od 3 do 6 tysięcy zł (miesięcznie) na jednego wychowanka. Mają także licznych dobroczyńców i darczyńców. Mimo to, nie się nie zmienia. Dzieci z domów dziecka są ciągle biedne. Nie mają ubrań, nie mają zabawek. Nikt nie troszczy się o ich edukację ani o start w dorosłym życiu. Ci, których znam z widzenia mają jeden sposób na życie: **żebractwo**. Pochodzą z rodzin rozbitych, dotkniętych alkoholizmem, prostytutką, narkomanią. Domy Dziecka próbują zastąpić im rodzinę – jak widać z mierzym skutkiem, rozrutnie wydając pieniądze podatników. Podobnie domy poprawcze i wychowawcze, które, jak podała prasa, wydają 6 tysięcy miesięcznie na jednego wychowanka, produkując pewnych kandydatów do zakładów karnych. PRL-owski system opiekuńczy funkcjonuje siłą bezwładu, produkując patologie. Na szczęście zdarzają się gminy, gdzie samorządowcy mają pomysły i próbują dokonać reform.

Mokotów był bankrutem...

Pan **Wiktor Czechowski** od 10 lat pracuje w Urzędzie Dzielnicy na warszawskim Mokotowie, pełniąc kierownicze funkcje (początkowo wiceburmistrza, potem wicedyrektora, obecnie znów wiceburmistrza). – *Kiedy tu przyszedłem 10 lat temu – wspomina – wielki Mokotów był bankrutem. To może komuś wydać się dziwne, ale jako jeden z nielicznych samorządowców w ówczesnej, blisko czterystatysięcznej Gminie*

miałem doświadczenie w zarządzaniu, bo wcześniej byłem wiceprezesem wielkiego holdingu. Przy pomocy zespołu wprowadziłem Mokotów z bankructwa (przez siedem miesięcy nie było płynności finansowej). W późniejszych latach mieliśmy stały przyrost dochodów, ale żeby to osiągnąć trzeba było zachęcać inwestorów, żeby tu przychodzili. Dobrym przykładem może być Galeria Mokotów i całe jej otoczenie. Firmy prosperujące na naszym terenie pomagają tutejszym instytucjom charytatywnym. Moja rola polega na tym, że wiedząc o potrzebach różnych instytucji i zamożnych inwe-

storach, staram się kojarzyć darczyńców z potrzebującymi. Dużo pomagam Towarzystwu Przyjaciół Dzieci, które na Mokotowie ma sieć świetlic i klubów, a nie posiada własnych środków. Oprócz tego staram się w naszej dzielnicy zbudować sieć domów kultury, hal sportowych i basenów, żeby młodzież ściągnąć z ulicy i podwórek. Trzeba stworzyć alternatywę spędzania wolnego czasu: drużyny sportowe zamiast młodzieżowych gangów, zespoły muzyczne, taneczne, grupy zainteresowań zamiast alkoholu i narkotyków.

Można brać się do organizowania pomocy, kiedy ktoś jest narkomanem lub alkoholikiem... Lepiej jednak zapobiegać i nie dopuszczać, żeby dzieci wpadły w złe towarzystwo. To znacznie tańsze i bardziej skuteczne! W zeszłym roku wybudowaliśmy dwie duże hale sportowe na Mokotowie. Przyszkołe na ul. Narbutta oraz przy szkole na ul. Bytnara. ⇨



foto: W. Hansen

Obie są dostępne dla dzieci i młodzieży, dobrze wyposażone, z zespołem instruktorów pracujących do późnych godzin. Zajęcia są bezpłatne.

Jednak oprócz bogatszych, są tu miejsca bardzo zaniedbane – mówi dyr Czechowski. – Ostatnio zajmowaliśmy się Służewcem. W tej części miasta przeważają zdewastowane budynki komunalne. Zdarzały się tam przypadki mordowania dorosłych przez nastolatków (prawie dzieci), bez żadnego powodu, tylko dlatego, że ktoś na kogoś krzywo spojrział. Patologia rośnie w blokowiskach, gdzie ludzie są nadmiernie sło-czeni. W jednym miejscu mamy cztery bloki po 660 mieszkań. Na małej przestrzeni 3000 biednych, sfrustrowanych ludzi. Młodzież nie ma się gdzie spotkać, wyładować energii. Więc się używają na budynku, na sąsiadach, na starszych... W takich miejscach niezbędne są boiska i hale sportowe.

Od kilku lat widać pozytywne zmiany na Siekierkach. To obszar ubogi, o zaniedbanej infrastrukturze, bardziej przypominający wieś, niż stoleczna

aglomerację. Otworzyliśmy tam nowoczesny, dobrze wyposażony Dom Kultury nastawiony na pomoc środowiskom ubogim i potrzebującym. Współpracujemy też z Ojcami pijarami, którzy mają się pracą wychowawczą wśród młodzieży. Zakon pijarów zaczyna tworzyć na Siekierkach własny system oświatowy, kształtujący dzieci od przedszkola do studiów wyższych. Żeby stworzyć bazę dla tego systemu potrzebne im grunty oraz pomoc finansowa i rzeczowa. Ostatnio pomogliśmy im uzyskać teren pod budowę nowej szkoły. Do szkół pijarskich jest wielu kandydatów, bo mają wysoki poziom i oparty na wartościach i zasadach moralnych model wychowawczy.

Funkcjonuje tu Ośrodek Pomocy Społecznej, w którym są zarejestrowani wszyscy podopieczni. W Ośrodku tym potrzebujący może się dowiedzieć, gdzie można znaleźć pomoc: w kościele czy innej organizacji. Dzięki temu wiadomo, jak kto otrzymane środki użytkuje. A jest to kilkanaście milionów dotacji rocznie. Samych stowarzyszeń

mamy blisko 200. Wiele z nich występuje o pomoc, więc problem, jak kto wydaje otrzymane pieniądze jest ważny.

– Moje zaangażowanie w pracy na rzecz Mokotowa bierze się stąd, że 55 lat, czyli od urodzenia, jestem związany z tą dzielnicą – opowiada Wiktor Czechowski. – Przed rokiem 1990 w ciągu 20 lat nie zbudowano tu niczego, co mogłoby służyć mieszkańcom. Nie było placów zabaw, boisk sportowych, domów kultury. Jest ogromne zapotrzebowanie na takie placówki. Ja przygotowuję bazę. Od ludzi jednak będzie zależało, jak otrzymane obiekty wykorzystają...

Chwałą go działkowcy, chwałą go rodzice...

Pani Ewa Eysymontt-Zdanowicz, mieszkanka Służewa nad Dolinką – była rzeczniczka prasowa Urzędu Dzielnicy Mokotów – tak charakterystycznie dyktora Wiktora Czechowskiego:

– Lokalny patriotą, przez całe życie związany z Mokotowem i stale zabiegający o to, żeby była to dzielnica zamożna, bezpieczna, przyjazna mieszkańcom, w której władza troszczy się o obywatela. Szczególną uwagę poświęcający najmłodszym i najbardziej potrzebującym.

Pan Czechowski urodził się na Mokotowie, tutaj chodził do szkoły, a potem na studia, na Politechnice Warszawskiej. Będąc inżynierem z wykształcenia, łączył zdolności techniczne i menadżerskie. W roku 1992 wygrał konkurs na stanowisko wiceburmistrza Mokotowa. Od tej pory w dzielnicy, która była finansowym bankrutem, zaczynają się zmiany na lepsze. Reformując struktury gospodarcze, dyr Czechowski starał się mieć jak najwięcej kontaktów z mieszkańcami Mokotowa. Zdarzało się, że przedłużał godziny pracy tylko po to, żeby pojechać i na miejscu obejrzeć uszkodzoną bramę, której naprawę domagał się ubogi emeryt. Znana jest historia pomocy, której udzielił działkowcom broniącym położonych w centrum Mokotowa terenów działkowych tzw. Ogródu Obrońców Pokoju. Działki zostały uratowane i w 2002 r. roku obchodzono uroczyste 100-lecie

ich istnienia. Działkowcy, obecni emeryci – w przeszłości tzw. doły partyjni – są mu za to niezmiernie wdzięczni.

Pan Czechowski pomaga ludziom niezależnie od ich opcji politycznej. Chwałą go emeryci i działkowcy, chwałą środowiska akowskie, chwałą zgromadzenia zakonne: Zakon pijarów za takie zaplanowanie Trasy Siekierkowskiej, by droga szybkiego ruchu nie odcinała dostępu do kościoła. Również za pomoc w licznych przedsięwzięciach charytatywnych m.in. w organizowaniu Parafady, a także za pomoc w rozbudowie szkół prowadzonych przez pijarów na Siekierkach.

Za dobrą współpracę chwałą go zakony jezuitów i barnabiów. Z wdzięcznością wspominają środowiska tworzące Szkołę Przymierza Rodzin. Rodziny z małymi dziećmi chwałą za zbudowanie w mokotowskich parkach placów zabaw dla dzieci i Ogródka Jordanowskiego przy ul. Odynia. Młodzież i dzieci – za nowy stadion przy ul. Wąbrzyńskiej, z wieloma boiskami bieżnią tartanową i torem dla rolkowców. Za te prace dla najmłodszych dyr Wiktor Czechowski został odznaczony **Orderem Uśmiechu** w 2002 r.

Rady dla samorządowców

Moim kolegom samorządowcom radziłbym – mówi Wiktor Czechowski – żeby mniej pieniędzy przeznaczali na konsumpcję, więcej zaś na stworzenie bazy organizacyjnej. Żeby najważniejsze rzeczy były w gminie, w dzielnicy, na miejscu. W dużych miastach trzeba wyprowadzać z centrum placówki kulturalne i sportowe. Jeśli w każdym osiedlu stworzy się dom kultury i hale sportową, to młodzi ludzie będą mieli gdzie ćwiczyć i rozwijać swoje talenty. Domy kultury i obiekty sportowe muszą być otwarte dla dzieci z ubogich, zaniedbanych środowisk. Jeśli tego nie będzie, zacznie się alkoholizm, narkomania, przestępczość. Walka z patologią bardzo dużo kosztuje. Starajmy się, żeby energia ludzi młodych szła w pozytywnym kierunku. Tworząc bazę, dajmy szansę przyszłym artystom, sportowcom, ludziom kultury.

Izabela Sikora

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Pieśń bez końca

Krakowskiej giełdzie płytowej **Pod Przewiązką** stuknie lada dzień trzydziestka. Naturalnie, o ile nieublagane prawa ekonomiczne nie doprowadzą wcześniej do jej likwidacji, co spotkało inne tego typu oazy życia muzycznego w Polsce. Jak na to nie spojrzeć, **Przewiązka** lata tłuste ma za sobą, a przypadały ona na niechlubne czasy PRL-u. Kiedy w sklepach płytowych niepodzielnie królowały wytwórnie pokroju **Melodii**, **Polskich Nagrań**, **Eterni** i **Supraphonu**, a w dewizowych **Peweksach** za bajońskie kwoty mogliśmy nabyć wylądnięte konfekcjonowane hity produkowane przez topowych wykonawców w rodzaju **The Beatles**, **Rolling Stones**, **Eric Clapton**, **Bob Dylan**, wrażliwemu i łaknącemu szerszych horyzontów melomanowi pozostały wyjazdy zagraniczne, a w Polsce – bazary oraz giełdy płytowe. Tu, za wielokrotnie niższe ceny, kupowaliśmy oraz wymienialiśmy czarne krawki, zarówno nowe, jak i te mocno porysowane. Repertuar i wybór – jak nam się wówczas wydawało – był przebogaty.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku płyty winylowe umarły śmiercią naturalną. Zostały wyparte przez poręczniejsze i bardziej funkcjonalne płyty kompaktowe. To właśnie wtedy pojawił się **Pod Przewiązką** **Michał Lysek**. Był wówczas licealistą, bodajże dwa lata przed maturą. Przybył z naszym kolegą Andrzejem Jabłońskim. Ten ostatni pochodził z rodziny muzycznej, toteż od wczesnego dzieciństwa występował w kapelach podwórkowych, a później we własnym zespole rockowym. Eksperymentował z kamerą pogłosową i technikami wielośladowymi. Zachęcił on Michała do kolekcjonerstwa płytowego i od

pewnego czasu zaczęliśmy spotykać się regularnie w każdą niedzielę.

– Słyszałem, że piszesz książkę o aniołach – zagadnął za którymś razem Michał.

– To prawda – odpowiedziałem trochę od niechcenia, przygotowawem na mnie lub bardziej wybredne docinki, na mnie lub bardziej nedorzeczne pytania.

Tym razem spotkała mnie jednak miła niespodzianka. Rozmówca usiadł sobie wygodnie, odłożył na bok pudełko z płytami i, nie spiesząc się, wygłosił coś w rodzaju życiowego credo.

– Zawsze fascynowała mnie matematyka. Myślę, że to jest moja największa miłość i życiowe przeznaczenie. W muzyce odnajduję ten sam abstrakcyjny język, aczkolwiek w przypadku matematyki jest on precyzyjniejszy i o wiele szybszy. Nie jest obciążony balastem fali dźwiękowej, pozostaje czysta idea sformułowana w znakach, bez żadnych skojarzeń i symboli, w których umysł mógłby ugryźć. Tak, matematyka jest czysta niczym aniołowie i jestem przekonany, że istnieje formuła matematyczna zdolna opisać i wyrazić świat niewidzialny w sposób adekwatny, o wiele lepiej od spekulacji teologicznych i filozoficznych.

– Istnieją różne teorie na temat li-czebności bytów anielskich – wtrąciłem się na chwilę.

– Interesujące! Możesz mi o nich w kilku słowach opowiedzieć?

Szybko odrzebałem w pamięci niezbędne wiadomości i w telegraficznym skrócie przedstawiłem anielskie nume-rologie św. Ambrożego z Mediolanu, św. Marii z Agredy, św. Bernarda z Clarivaux, Pseudo-Dionizego, Swedenborga, a także najbardziej z nich rozbudo- ➔

MICHALICI

Bóg wciąż poszukuje młodych ludzi o odważnych sercach i zaprasza do pracy w dziele ewangelizacji świata. Dla michalitic wyraża się to w szczególnej trosce o dzieci i młodzież poprzez prowadzenie ośrodków wychowawczych, szkół katolickich, domów dziecka i oratoriów. Michalici głoszą Dobrą Nowinę w czasie rekolekcji i misji, a także przez słowo pisane – posiadają własne Wydawnictwo i Drukarnię **Michalineum**. Szerzą kult Św. Michała Archanioła i Aniołów. Pracują w Polsce i za granicą. Jeśli chcesz wiedzieć więcej – napisz, zadzwoń lub przyjedź na organizowane przez nas rekolekcje i dni skupienia. Najbliższe terminy:

- 7 – 9 marca (Toruń) – Dni Skupienia na Wielki Post
- 14 – 16 marca (Kraków) – Dni Skupienia na Wielki Post
- 28 – 30 marca (Górki k. Garwolina) – Wielkopostna Oaza Modlitwy
- 4 – 6 kwietnia (Miejsce Piastowe) – Dni Skupienia na Wielki Post
- 30 kwietnia – 4 maja (Górki k. Garwolina) – Rekolekcje i II Michalicka Olimpiada Sportowa im. Bpa Jana Chrapka
- 7 – 8 czerwca (Miejsce Piastowe) – Fatimskie Czwanie Młodzieży w intencji powołań
- 27 czerwca – 2 lipca (Pewel Ślemieńska) – Włoczęga po Beskidach
- 21 – 31 lipca – Michalicki Rajd Rowerowy po Mazurach
- 25 – 27 października (Miejsce Piastowe) – Jesienne Dni Skupienia
- 14 – 16 listopada (Kraków) – Jesienne Dni Skupienia
- 28 – 30 listopada (Górki k. Garwolina) – Dni Skupienia przed Adwentem

MICHALICKIE DUSZPASTERSTWO POWOŁANIOWE

ul. Ks. Bronisława Markiewicza 25a
38-430 Miejsce Piastowe
tel. (13) 433 92 62 lub 0 604 838 749
e-mail: krzychu@michalici.odd.pl

wane teorie kabalistyczne. W miarę mówienia Michał zdawał się coraz bardziej rozczarowany.

– *Te wszystkie koncepcje – zachnął się – są bardzo jałowe, pozbawione jakiegokolwiek lotności i sprowadzają się do elementarnych podstaw arytmetyki oraz prymitywnej kombinatoryki.*

– *To może ty kiedyś zbudujesz lepszą formułę?* – zapytałem bez cienia złośliwości.

– *Kto wie* – odparł z tajemniczym uśmiechem.

Do rozmowy tej nigdy więcej potem już nie wróciłem, natomiast coraz częściej pożyczaliśmy sobie płyty, najczęściej kompozytorów spod sztandaru minimalizmu oraz ambient: *Philip Glas, Wim Mertens, AMM, Dead Voices on Air*. Naszą największą wspólną miłością była jednak muzyka *Briana Eno*, natchnionego barda instrumentów elektronicznych. Znalazł on prawie natychmiast grupę naśladowców i epigonów, ale żaden z nich nie potrafił nawet zbliżyć się do mistrza. *Brian Eno* to była nasza anielska muzyka, ulotna, jakby pozbawiona ciała, tkanki muzycznej, wręcz muzyka bez muzyki. Ten pracocian tajemniczych dźwięków pogrążał nas w niebycie, we wspaniałym transie, utwory bez początku i końca, jak chociażby *Discreet Music* lub *Thursday Afternoon*, które można słuchać wielokrotnie, wręcz w nieskończoność, bez wrażeń nieciągłości.

Pod koniec czerwca wszyscy kolekcjonerzy rozjeżdżali się na wakacje, a na placu boju pozostawał samotnie Andrzej Potoczek, ciągle niedoceniona gwiazda rocka i wirtuoz gitary elektrycznej. Zwykł on kłaść się na długiej ładzie i w oczekiwaniu na wirtualanego kolekcjonera odgrywał na niewidzialnej gitarze karkołomne akordy z repertuaru swego guru *Franka Zappya*.

Po którychś wakacjach okazało się, że Michał Łysek jest już studentem matematyki, w dodatku świetnie sobie radzącym. Nikt już nie miał wątpliwości, że to naprawdę były jego wymarzone studia i nieliczni powątpiewający w talent tego ścisłego umysłu kajali się teraz, zwracając honor. Nasze kolekcje

płytkowe niepostrzeżenie i uparcie pęczniały do granic wytrzymałości. Małe przeważnie mieszkania zmuszały do poważnych remanentów; sprzedawaliśmy to, co przestawało inspirować. Bezustannie poszukiwaliśmy czegoś nowego, oślniewającego i doskonalszego. Korespondowaliśmy z kolekcjonerami w całej Polsce i za granicą, czasem chadzaliśmy wspólnie na koncerty.

Mijały kolejne lata. Michał wyrobił sobie opinię najzdolniejszego studenta matematyki, jaki studiował na uczelni od kilkunastu lat, w nagrodę otrzymał roczne stypendium do Oxfordu. Bardzo cieszył się z tego wyróżnienia. Zapewniał, że przywiezie mnóstwo ciekawych płyt.

Ostatni raz spotkaliśmy się *Pod Przewiązką* w marcową niedzielę 1997 roku. Kilka dni później Michał wracał po zajęciach do domu, jak zwykle na rowerze. Zapadł już zmierzch i stojąc na czerwonych światłach patrzył na pojedynczych przechodniów zmierzających w pośpiechu do domu. Nie spozstrzegł, że od tyłu podeszło dwóch podchmielonych piętnastolatków z kijami bejsbolowymi. Pierwszy cios trafił w głowę i ogłuszony rowerzysta upadł na ziemię, nie był w stanie się bronić. Oprawcy, uczniowie pobliskiej zawodówki bili z wyjątkową zaciętością. Po piwie poczuli przyływ energii i chcieli się wyszaleć, najlepiej spuścić komuś solidnie łanie. Michał był pierwszą osobą, na którą trafili. Skatowaną ofiarę pozostawili leżącą na ulicy i poszli na kolejne piwo. Michał dowłókł się o własnych siłach do domu, od razu został odwieziony do szpitala. Niestety, zmarł po kilku dniach.

* * *

Matematyczna formuła niewidzialnego świata dotychczas nie powstała. W każdym razie nic mi o takiej nie wiadomo. Jedno jest pewne: jej autorem nie będzie Michał Łysek. Sporo pytań ciśnie się na usta. Dlaczego Bóg, dając wspaniały talent, nie pozwolił go rozwinąć? Czy ktoś czegoś nie dopatrzyl? Kto? Czy aniołowie mogli zapobiec tragedii? Czy z tego zdarzenia niepojęty Bóg wyprowadzi wyższe dobro?



foto: P. Zybajewski

Oprawcy, jak na razie, nie wyciągnęli żadnych wniosków. Nie wykazali najmniejszej skruchy. Po pięciu latach pobytu w domach poprawczych powrócili na wolność. Jeden z nich zdobył maturę, pasjonuje się grafiką komputerową i myśli o studiach. Drugi nie zdobył żadnego zawodu i prawdopodobnie zasili liczną młodzieżową armię bezrobotnych. Rodzice Michała ciągle żyją tragedią. Po śmierci syna postanowili przekazać niewykorzystane stypendium oxfordzkie do dyspozycji *Uniwersytetu Jagiellońskiego* i ufundowali nagrodę im. Michała Łyska dla wybitnych studentów.

Słucham naszej ukochanej płyty *Hybrid* z Michałem Brookiem, Briannem Eno i Danielem Lanois. I zawsze przypominam sobie Michała w dniu św. Walentego. Dzień zakochanych w roku 1997 był bardzo deszczowy, szary, zimny i w ogóle bardzo nieprzyjemny. Przypadkowo spotkałem go pod *Hotelem Royal*. Niósł białe kwiaty, bardzo spieszył się wręczyć je swojej dziewczynie.

Herbert Oleschko

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARYI

W czerwcu ubiegłego roku minęła osiemdziesiąta rocznica obecności i pracy duszpasterskiej w Polsce sióstr Franciszkanek Misjonarek Maryi. Na naszych ziemiach Zgromadzenie zaistniało dzięki hr. Aleksandrowi Szepczyckiemu, który w dowód wdzięczności za opiekę, jaką siostry otaczały w Odessie jego chorą na gruźlicę córkę, ofiarował Zgromadzeniu rodową posiadłość w Łabunianach koło Zamościa. Tam właśnie, w roku 1922, siostry zorganizowały swoją pierwszą w Polsce wspólnotę zakonną FMM. Dziś istnieje na terenie kraju 14 wspólnot Zgromadzenia. Prowincja Polska-Ukraina obejmuje także 4 placówki na Ukrainie. Wszystkich Franciszkanek Misjonarek Maryi w świecie jest ok. 8 tysięcy, w tym Polek blisko 340, z czego ponad 100 pracuje w 44 krajach świata na wszystkich kontynentach.

Z Indii na cały świat i... do Polski

Z siostrami: **Iwoną Glistą, Anną Miśkowiec i Anielą Pastuszką**
rozmawiają **Paweł Smogorzewski i Eugeniusz Zdanowicz**

Zgromadzenie Franciszkanek Misjonarek Maryi, jakkolwiek poprzez postać swej Założycielki – wywodzącej się z Bretanii – bł. Heleny de Chappotin czyli Matki Marii od Męki Pańskiej, związane jest z Francją, to jednak jego strukturalne początki odnajdujemy daleko od Loary i Sekwany, bo aż w Indiach. Dlaczego?

Na subkontynent indyjski Matka Założycielka przybywa w roku 1865. Jest wówczas nowicjuszką Zgromadzenia Maryi Wynagrodzicielki. Włączając się w działalność misyjną, jaką zaczyna prowadzić jej dopiero co powstałe zgromadzenie – troszczy się o najuboższych, chorych, cierpiących. Świadcząc uczynki miłosierdzia, nie zważa na obowiązujące w Indiach zasady systemu kastowego. W duchu chrześcijańskim stara się też dowartościować społeczną pozycję hinduskiej kobiety.

I teraz, kiedy w ziemi indyjskiej ziarna Bożego Miłosierdzia wsiewały i sieją takie postaci, jak Matka Teresa z Kalkuty czy o. Marian Żelazek i dziesiątki bezimiennych misjonarzy, nie jest łatwo zaszcześcić Dobrą Nowinę, a cóż dopiero mówić o wieku dziewiętnastym!

Czy Matce Marii od Męki Pańskiej udało się osiągnąć jakieś spektakularne sukcesy w dziele ewangelizacji?

Na pewno jej działaniom nie przyświecała myśl o sukcesie w tym sensie, w jakim dzisiaj to pojęcie rozumiemy, bowiem w cichości serca pełniła Bożą wolę, a o Chrystusie świadczyła swoim pełnym poświęceniem dla bliźniego życia. Oddanie, poświęcenie, ale i zdolności organizatorskie szybko doceniła Przełożona Generalna Zgromadzenia Maryi Wynagrodzicielki, wybierając ją, zaledwie po dwóch latach pobytu w Indiach, na przełożoną prowincji Madura. Maria od Męki Pańskiej miała wówczas dwadzieścia osiem lat.

Warto chyba wspomnieć także i o tym, że nie był to już pierwszy zakon, do którego wstępowała Helena de Chappotin.

Pierwszą myślą były Panie z Wiczernika w Paryżu, ale – jak to w wielu rodach arystokratycznych często bywało – nie zawsze respektowano zakonne powołania córek. Tu doszło nawet do tragedii, bowiem matka na wieść o decyzji córki, dostała wylewu i zmarła. Prawie dwa lata później od tamtego

wydarzenia, gdy Helena była już u sióstr Klarysek w Nantes, usłyszała wewnętrzny głos – *Czy chcesz być ukrzyżowana za Kościół i Ojca Świętego? Za zbawienie świata?* To mistyczne doświadczenie miało potem fundamentalne znaczenie na kształtowanie się elementu ofiary za Kościół i zbawienie świata przyszłego Zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Maryi.

I chociaż z powodu problemów zdrowotnych musiała opuścić Zakon Klarysek, duchowość franciszkańska na zawsze pozostała jej bardzo bliska i droga. Nigdy już, jak sama wspomina, nie przestała być córką św. Franciszka z Asyżu.

Będąc posłuszną swoim kierownikom duchownym, ostatecznie wstępując do nowicjatu Zgromadzenia Sióstr Maryi Wynagrodzicielki. Przy obłóczynach otrzymuje imię Marii od Męki Pańskiej. Już jako nowicjuszka trafia na placówkę do Indii...

Praca przyszłej Błogosławionej nagłe napotkała, powiedzielibyśmy, na administracyjne trudności. Jak do tego doszło?

Musimy pamiętać, iż druga połowa dziewiętnastego stulecia, to wciąż po-

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARYI

szukiwanie odpowiedzi na pytanie: na czym ma polegać działalność misyjna, przede wszystkim w przypadku żeńskiego zgromadzenia? Zgromadzenie Wynagrodzicieli, o typowo kontemplacyjnym charyzmacie, nie zdołało sprostać wyzwaniom misji. Na tym tle zaistniały pewne nieporozumienia (1876 r.), na skutek których Maria od Męki Pańskiej wraz z grupą 19 sióstr opuściła Zgromadzenie Maryi Wynagrodzicieli.

Helene de Chappotin i jej siostry opieką otoczył biskup Bardou, Wikariusz Apostolski Coimbatour w Indiach. On poradził równocześnie, aby udać się bezpośrednio do Stolicy Apostolskiej i prosić o rozwiązanie zaistniałego problemu. Idąc za radą hierarchy Matka Maria od Męki Pańskiej, wraz z trzema towarzyszkami, udała się do Rzymu. Papież Pius IX na specjalnej audiencji w dniu 6 stycznia 1877 roku błogosławił misjonarkom, wyrażając tym samym zgodę na powstanie nowego zgromadzenia Misjonarek Maryi. W osiem lat później, w roku 1885, całe Zgromadzenie zostaje przyłączone do rodziny franciszkańskiej i od tej pory nosi nazwę **Franciszkanek Misjonarek Maryi**.

Wskazanie na duchowość Biedaczyny z Asyżu miało z pewnością zdecydowany wpływ na charyzmat Zgromadzenia?

Umiłowanie krzyża, ubóstwo, pokój, radość i prostota to zasadnicze elementy duchowości franciszkańskiej. Naśladujemy Chrystusa, który wydał się Ojcu w tajemnicy wcielenia, śmierci i zmartwychwstania. Nasz charyzmat składa się z trzech zasadniczych i przenikających się wzajemnie elementów: ofiarujemy swe życie za Kościół i zbawienie świata, poświęcamy się codziennej adoracji Najświętszego Sakramentu i włączamy się w działalność misyjną Kościoła. Wszystko to czynimy na wzór Maryi i św. Franciszka. **Oto ja służebnica Pańska** – to hasło naszego Zgromadzenia.

W działalności misyjnej, która jest pierwszym głoszeniem Dobrej Nowiny, chodzi nie tylko o krzewienie wiary, lecz także o świadectwo życia chrześcijańskiego. Poza tym Matka Założycielka zawsze kładła ogromny nacisk na to, abyśmy były dyspozycyjne, przygotowane na każdą ewentualność, byśmy podejmowały pracę tam, gdzie nasza obecność okaże się konieczna, gdzie będziemy postane.

We wszystkich wyzwaniach, zaangażowaniach umacnia nas codzienna adoracja Najświętszego Sakramentu. Każda z nas wie, że właśnie Jezus – wystawiony i adorowany w Najświętszym Sakramencie – jest Pierwszym Misjonarzem Zgromadzenia. On jest naszą siłą. To On przecież nas posyła. Do Niego też powracamy. I tylko dzięki Niemu możemy *porwać* dla Boga ludzi, do których przybywamy.

Zostawszy Założycielką i Przełożoną nowego Zgromadzenia, Helena de Chappotin, czyli Matka Maria od Męki Pańskiej, już nie powróciła do Azji?

W Indiach nasza Założycielka spędziła w sumie jedenaście lat. Oplaciła to chorobą. Zapadła na wodną puchlinę. Na powrót do Madury nie pozwalał więc i stan jej zdrowia, ale także ten ogrom prac organizatorskich zakonnego dzieła, który czekał na nią w Europie.

Działalność w Indiach prowadziły współsiostry Marii od Męki Pańskiej, te które były z nią od początku. To dzięki nim i wciąż przybywającym, coraz to nowym franciszkankom (początkowo przede wszystkim z Francji) były zakładane nowe placówki na Cejlonie, w Birnie i w Chinach, a potem także w Ameryce Łacińskiej. Właśnie w Państwie Środka, w roku 1900, w czasie *Powstania Bokserów*, śmierć za wiarę poniosło siedem naszych sióstr. Przed trzema laty, w roku 2000, w gronie stu dwudziestu męczenników z Chin – kanonizował je w Rzymie Ojciec Święty Jan Paweł II.

Franciszkanki Misjonarki Maryi dotarły na przestrzeni 120 lat swego istnienia, także i na inne kontynenty?

Poczynając od roku 1877 aż do chwili śmierci Matki Założycielki, która miała miejsce w San Remo 15 listopada 1904 roku, a więc w ciągu dwudziestu lat, tak w Europie jak i w Azji, Afryce oraz na terytoriach obu Ameryk powstało osiemdziesiąt pięć naszych fundacji. Było to ogromne osiągnięcie, szczególnie zważywszy na to, iż wciąż przychodziło borykać się Zgromadzeniu z kłopotami finansowymi. Franciszkanek Misjonarki Maryi nie liczyły, jakbyśmy to dziś mogli powiedzieć, tylko na sponsorów. Siostry utrzymywały się z pracy rąk własnych. Tworzyły więc różnego rodzaju pracownie, które z jednej strony przynosiły środki na działalność duszpasterską i utrzymywanie podopiecznych, z drugiej zaś stwarzały możliwości zdobywania w nich zawodu czy jakichś konkretnych umiejętności przez dziewczęta i oddane ich pieczy niemiasty.

Pośród tej wielkiej międzynarodowej rodziny pojawiły się również, bardzo szybko i nasze rodaczki.

Przed przybyciem Franciszkanek Misjonarek Maryi do naszego kraju, co nastąpiło dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Polki pragnące oddać się pracy na misjach, wstępowały do domów Zgromadzenia znajdujących się w Austrii, Rosji, we Włoszech. Kandydatki z Wielkopolski, Pomorza czy Śląska najczęściej trafiały do klasztorów w Austrii. Natomiast dla dziewcząt z Mazowsza, Podlasia, Lubelszczyzny czy wschodnich kresów, otwierał swe podwoje – istniejący od 1907 roku – dom w Petersburgu.

Klasztor nad Nową, na dalekiej północy, stał się z czasem bardzo silnym ośrodkiem katolicyzmu. Do dzisiaj trwa pamięć o tamtych latach. Siostry, które dziś na nowo pracują w Petersburgu, opowiadają o niezwykłych spotkaniach z leciwymi już Rosjankami, ☞



Rzym, 20.10.2002 r. Beatyfikacja s. Marii od Męki Pańskiej



Bł. s. Maria od Męki Pańskiej – Założycielka Franciszkanek Misjonarek Maryi



Rzym, 20.10.2002 r. Beatyfikacja s. Marii od Męki Pańskiej. Procesja z darami



Zespół *Ag gentes*



Siostry Franciszkanki Misjonarki Maryi w Pakistanie. Hospicjum św. Józefa

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARYI

fol. Archiwum Sióstr



Togo w Afryce. Przychodnia, gdzie dzieci niedożywione przychodzą po jedzenie



Burkina Faso. S. Maria Tarała FMM



S. Aniela w Dakarze. Z tyłu dwa samochody – transport w tym kraju

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARYI

które ze wzruszeniem wspominają „białe siostry”, które opieką otaczały dzieci i ludzi starszych. Białymi siostrami nazywano nas wówczas z powodu koloru noszonych przez nas habitów. Dziś nosimy strój bardziej praktyczny – szary.

W dobie pralek elektrycznych i elektronicznych urządzeń, ta zmiana może nie byłaby taka konieczna. Wszak dominikanie, kammeduli, cystersi i paulini zostali przy białych habitach. To oczywiście żart. W istocie owa zewnętrzna odmiana w żaden sposób nie wpłynęła na kierunek duszpasterskiego zaangażowania siostr.

Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że nasz charyzmat nie jest charyzmatem zamkniętym. Oczywiście, marzeniem jest praca w kraju misyjnym, ale Matka Założycielka zawsze podkreślała, że tam, gdzie jesteśmy – tam jest nasza misja. Dlatego jesteśmy również obecne w przedszkolach, szpitalach czy szkołach, gdzie uczymy religii. Prowadzimy także domy pomocy społecznej dla młodzieży w Zamościu, Kietrz i Kadłubie. Wiedząc, jak bolesnym wyzwaniem współczesności jest ubóstwo – byliśmy zaangażowane w posługę dla bezdomnych w ramach misji kamilińskiej.

W sensie moralnym i praktycznym kontynuują więc siostry również dzieło heroicznego pokolenia tych franciszkanek, którym przyszło dawać Chrystusowe świadectwo w okresie wojny i okupacji.

Wiele z naszych poprzedniczek w istocie zasługuje na miano bohaterek! Opiekowały się więźniami w obozach koncentracyjnych i wywożonymi z Zamojszczyzny w głąb Rzeszy, polskimi dziećmi czy, jak chociażby wciąż mieszkająca w Łabuniach, odznaczona medalem jerozolimskiego Instytutu Yad Vashem s. Bogumiła, ratowały dzieci żydowskie. Na Śląsku jedna oddała życie za współsiostrę. W stolicy zaś siostry opatrywały powstańców

w trakcie walk, a potem towarzyszyły im i ludności cywilnej podczas ewakuacji miasta. Wspominając tamte czasy, nie oceniają jednak swych czynów jako nadzwyczajnych. Owszem, wiedziały, że mogą zginąć, ale wiedziały też, że nie mogą opuścić tych, którzy im zaufali. To samo powtarzają siostry obecnie pracujące na misjach, w krajach zagrożonych wojną czy terrorem takich, jak chociażby Algieria, Kongo czy Izrael...

Siostra Aniela Pastuszak przez 27 lat pracowała na misjach w Burkina Faso i Senegalu?

Właśnie w Burkina Faso istniała taka pracownia, jakie na początku działalności Zgromadzenia zakładała jeszcze Założycielka. Były to zarazem warsztaty szkolne i jeśli można się tak wyrazić, także produkcyjne. Tam, na czarnym kontynencie, zdobycie jakiegokolwiek praktycznej umiejętności pomaga funkcjonować nawet w bardzo trudnych warunkach. Ogromną rolę odgrywa w tamtych społecznościach Caritas. W Dakarze pracowałam w diecezjalnym biurze tej charytatywnej instytucji. Nawet w tak bogatym mieście portowym, który dla wielu Afrykanów wydaje się być rajem, pomoc Caritasu jest niezbędna. W tej sytuacji, nie trzeba chyba dodawać, że dziś niemalże w każdym zakątku Afryki taka pomoc jest nieodzowna.

W jakie jeszcze działania angażują się franciszkanki?

Siostra Anna na przykład jest zaangażowana w Papieskich Dziełach Misyjnych, a konkretnie w Papieskim Dziele Rozkrzewiania Wiary. Dzieło to ma na celu rozbudzenie ducha misyjnego wśród dorosłych tak, aby każdy wierny czuł się odpowiedzialny za misję i wspierał je nie tylko ofiarą, ale i modlitwą. Instytucja PDM prowadzi również animację misyjną wśród katechetów, do czego służą misyjne materiały formacyjne dla dzieci i młodzieży, a także czasopisma misyjne – dwumiesięcz-

nik: *Misje Dzisiaj* – dla młodzieży i oraz *Świat Misyjny* – dla dzieci.

Dla celów skuteczniejszej animacji misyjnej prowadzonej w ramach naszego Zgromadzenia, założyłyśmy zespół misyjny Sióstr FMM „Ad gentes”. Jest on pomocny w prezentowaniu specyfiki pracy misyjnej i zachęcaniu do niej, poprzez muzykę – jest sposobem dzielenia się kulturą krajów misyjnych. Muzyka też może przeciwieństwie ewangelizacji i propagowaniu wiedzy o misjach, tym bardziej, że w repertuarze naszego zespołu jest wiele utworów pochodzących z bardzo egzotycznych krajów. Zespół debiutował przed szerszą publicznością podczas I Misyjnego Kongresu Zakonów i Zgromadzeń Żeńskich i Męskich, jaki odbywał się w ubiegłym roku w Gdańsku i Gdyni.

Czyby znaczyło to, iż podpisujecie się, Siostry, pod coraz częściej głoszoną tezą, że właśnie w posługiwaniu się niekonwencjonalnymi sposobami przekazu Dobrej Nowiny leży przyszłość skutecznej ewangelizacji?

Oczywiście, dlatego też cieszy nas dostep do anteny *Radio Maryja*. Siostra Iwona, która ma merytoryczne przygotowanie, jest bowiem absolwentką wydziału środków społecznego przekazu, sektora radiofonii Papieskiego Uniwersytetu Salezjańskiego w Rzymie, realizuje w toruńskiej rozgłośni (na zlecenie Papieskiego Dzieła Misyjnego Dzieci) cykliczne audycje o tematyce misyjnej dla najmłodszych słuchaczy pt. *Dzieci Dzieciom Misji*. Mamy nadzieję, że zasiane w młodych duszach, dzięki fałom eteru, ziarno troski o przyszłość Kościoła w świecie wyda obfite, duchowe owoce.

Serdecznie dziękujemy Siostram za rozmowę.

Rozmawiali:
Paweł Smogorzewski
i Eugeniusz Zdanowicz.



S. Maria Spychalska FMM – Japonia



Senegal. Udany potów w Joali



Siostra z dziećmi mongolskimi



S. Zofia Przednowek FMM w stroju tradycyjnym na Tajwanie

Próbnych wysiedleń ludności Zamojszczyzny hitlerowcy dokonali już w listopadzie 1941 r. Natomiast w grudniu 1942 r. przystąpili do masowych wysiedleń. Od zbrodni tej upłynęło więc dokładnie 60 lat. Początkowo władze okupacyjne nie zezwoliły **Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO)** (jedyniej polskiej instytucji, jakiej oficjalnie wolno było koordynować i organizować pomoc dla rodaków) na udzielanie pomocy wysiedlonym. Ani podczas ich transportu do obozów, ani w trakcie pobytu. Agendy i placówki **RGO** mogły dopiero objąć opieką tych z wysiedlonych, których Niemcy po jakimś czasie przewieźli na odleglejsze od zamojszczyzny tereny **Generalnej Guberni**. W końcu lutego 1943 r. w Dystrykcie Warszawskim przebywało już ponad 4 tysiące wysiedlonych, w tym 1070 dzieci. Byli to przede wszystkim ludzie niezdolni do pracy przymusowej na terenie Niemiec, a więc dzieci, starcy i chorzy. Pierwszą osobą, która, po trafieniu na ślad dzieci z Zamojszczyzny, przywiozła dwie ich grupy do Warszawy, korzystając z moralnego i realnego wsparcia ze strony swoich zwierzchników ze *Spolem*, była **Marianna (z domu Jeruzal) Fandry**, używająca wówczas imienia **Janina Dębska**.

Dzieci Zamojszczyzny (cz.1)

Wspomina **Marianna Fandry**, działaczka *Spolem* i żołnierz AK

W 1940 r. zgłosiłam się do centrali *Spolem* na ul. Grażyny. Nie musiałam się tam przedstawiać. Prezesem *Spolem* był wówczas prof. Marian Rapacki, który wiedział, kim jestem. Zostałam zatrudniona w *Wydziale Lustracyjnym*, którego dyrektorem był Stanisław Dippel.

Pod koniec 1942 r. coraz głośniejsze się o tym mówiło, że Niemcy wywożą dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny. Ja także ogromnie się tym interesowałam. Moja serdeczna przyjaciółka zapytała mnie w listopadzie, czy nadal jestem tak zainteresowana ich losem. Odpowiedziałam twierdząco. W styczniu zostałam przez nią zaproszona na ul. Wspólną do kawiarenki, w której pracowały żony przebywających w niewoli oficerów polskich. Miała mnie tam skontaktować z kimś, kto wie, gdzie przebywają dzieci i w ogóle wysiedleni. Kiedy tylko usłyszałam, że ta osoba może ze mną pojechać w takie miejsce, natychmiast udałam się w *Spolem* do Leona Marszałka. Po prostu mu powiedziałam: – *Panie Leonie, wiem gdzie są dzieci z Zamojszczyzny i mogę tam pojechać!* Wówczas p. Leon poszedł do Mariana Rapackiego i w ciągu kilku minut dostałam do swojej dyspozycji bardzo dobrego, doświadczone-

go kierowcę Remigiusza Dobrolińskiego, duży samochód oraz 40 kocy. Razem z tą panią, z którą skontaktowała mnie przyjaciółka, pojechaliśmy do Stoczka. Przed wyjazdem poszłam jeszcze do **RGO** i powiedziałam im, że jadę po dzieci. Odpowiedziano mi, że to niemożliwe, abym dała radę je przywieźć. – *Jeżeli jednak uda się to pani, prosimy zawieźć je do szpitala na Czerniakowską i tam zostawić.*

W Stoczku poszliśmy do takiej *nibyświatlicy*, gdzie na prowizorycznych przyrządach i słomie leżały dzieci, leżeli także starcy. Bowiem wszyscy, którzy nie nadawali się do wywiezienia na roboty do Niemiec, wysyłani byli już wówczas pociągami do punktów, z których rozsyłano ich do różnych miejscowości. W Stoczku zobaczyłam dzieci wyglądające jak maleńkie trupki. Koczujący wraz z nimi starzy ludzie znali niektóre z nich, o ile były z tej samej wsi, bądź z wiosek pobliskich. Była tam też matka z sześciorciem takich maleństw. Leżąc u niej w nogach dziewczynka była psychicznie chora.

Przed wyjazdem ze Stoczka dzieci pozawijaliśmy w koce i ułożyliśmy jak naleśniki na dnie platformy ładunkowej naszej ciężarówki. Zmieściliśmy tylko dwadzieścioro sześciuro. A wymagają-

cych szybkiej pomocy było przecież znacznie więcej...

W szpitalu na ul. Czerniakowskiej usłyszałam: – *Proszę pani, z RGO dostaliśmy wiadomość, że ma pani pojechać z tym do Punku Wysiedleńczego na ul. Marszałkowską 91. Nie tutaj, bo szczekaczki (uliczne niemieckie megafony propagandowe) bez przerwy ogłaszają, że kłóć się, iż w Warszawie są dzieci z Zamojszczyzny, będzie ukarany więzieniem, do kary śmierci włącznie...* W tym szpitalu bano się nawet przyjąć trzymane przeze mnie na ręku, umierające półtoraroczne dziecko. Ale przypadkowi ludzie to usłyszeli i podążyli za nami tramwajami na ul. Marszałkowską. Kiedy dojechaliśmy na Marszałkowską 91 i wyszliśmy z samochodu, żeby otworzyć plandekę i zanieść dzieci do tego Punktu, otoczyło nas mnóstwo ludzi złorzeczących Niemcom. Miałam na sobie taką, sięgającą ziemi, służbową *burkę*, w której jeździłam na lustracje i w pewnym momencie poczułam, że jej przepastne kieszenie są pełne pieniędzy. Pod otworzoną plandekę, na zawinięte w koce dzieci leciały ciastka, kiełbasa, cukierki. Co kto miał, to wrzucał na tę przyczepę. Nie mogliśmy już wjechać w podwórze. Wobec tego powiedziałam głośno: – *Sluchaj-*

for. P. Życieński



cie! Ponieważ nie możemy wjechać, a lada chwila zjawia się tu Niemcy, kto najbliżej stoi, proszę wziąć dziecko w kocu i zanieść na drugie piętro oficyny w podwórzu. Do kierowcy zaś powiedziałam: – *Panie Remigiuszu, niech pan stanie naprzeciwko, na Skorupki i poczeka, aż wyjdę.*

Kiedyśmy przynieśli dzieci na drugie piętro, ludzie łapali się za głowę, bo to, co zobaczyli, wstrząsnęło nimi. Te dzieci nie mówiły, twarze miały pełne strupów od szkarlatyny. Rączek nie miały siły podnieść do góry... Powiedziałam pracownikom Punktu, że jadę po drugą partię dzieci. Zapytano mnie, czy słyszałam, co ogłaszają Niemcy? Odpowiedziałam, że tym niemniej jadę do *Spolem* na Grażyny, żeby zatankować benzynę, bo musimy ruszać po resztę. Zażądano ode mnie podania nazwiska, żeby **RGO** wiedziała, kto przywoził dzieci. Podałam oczywiście to nazwisko, którym się posługiwałam nawet jeszcze po wojnie: **Janina Dębska**. Powiedziano mi też, że jeśli przywieziemy drugą partię dzieci, to mamy je dostarczyć już nie tu, ale na ul. Ogrodową, gdzie znajduje się punkt sanitarny i dezynfekcyjny.

Na ul. Grażyny dojechaliśmy po godz. 6 wieczorem, krótko przed godzi-

ną policyjną. Poszłam do obecnego jeszcze w biurze dyrektora Józefa Jasińskiego, który był członkiem Zarządu *Spolem*. Powiedziałam mu, że musimy wziąć benzynę i zaraz jedziemy po drugą grupę dzieci. – *Ale czy pani wie, co się dzieje?* Odpowiedziałam: – *Wiem, Panie Dyrektorze, ale nie możemy tych dzieci zostawić na pastwę losu, bo umrą! Naprawdę musimy pojechać po tę drugą grupę!* – *Niech więc Dobroliński bierze benzynę i jedźcie jak najszybciej przed godziną policyjną* – odparł krótko dyrektor.

Gdy ponownie przyjechaliśmy do Stoczka, było już 28 stopni mrozu. Nie wypuścili nas tej nocy. Dyrektor społemowskiego młyna, gdzie się zatrzymaliśmy, zdecydował: – *Przenocujecie tu – i dopiero rano pojedziecie!* Rano nie mogliśmy długo uruchomić samochodu, bo wszystko zamarzło. Dopiero po jego rozmrożeniu mogliśmy załadować dzieci. W Warszawie pojechaliśmy prosto na Ogrodową. Tamtejsza dyrektorka powiedziała do mnie tak: – *Proszę pani! Gestapo tu było i wie, że ma przyjechać druga grupa. Zostawili nam telefon i zażądali, że, jeśli pani przyjedzie, natychmiast mamy ich zawiadomić...*

Jak poprzednio Niemcy tam przy-

szli, to zobaczyli te dzieci, które przyjechały z Marszałkowskiej. Były już umyte i leżały w łóżeczkach. Nad łóżeczkami były napisy o treści np.: *Marysia – lat 3, Stasio – lat 5*. Tylko na niektórych były nazwiska. Z nami przyjechała też ta kobieta, która miała sześciuro dzieci. Nawet ona знаła tylko niektóre nazwiska. Gdy przyszedł tam lekarz niemiecki z dyrektorem Wydziału Zdrowia magistratu warszawskiego, Janem Starczewskim i lekarzem tego Wydziału dr. Łąckim oraz inni Niemcy, to dzieci, usłyszawszy niemieckie głosy, podobno tak drżały, że lekarze poprosili Niemców o wyjście. Po zbądaniu dzieci doktorzy powiedzieli, że cierpią one na szkarlatynę i na takie choroby, że trzeba je izolować i nie można ich chwilowo przenieść gdzie indziej. Oczywiście później te dzieci zostały rozdysponowane. Wiem, że część była u siostr urszulanek na Tamce, część zaś u księży salezjanów na Powiślu.

Mnie miejscowa lekarka zatrzymała na noc, umożliwiono mi kąpiel, wyspałam się i na drugi dzień przyjechałam na ul. Grażyny.

Cdn.
Zanotował:
Cezary Bunikiewicz

REPORTAŻ

(cz. 2)



fot. P. Żywieński

Porażenie mózgowe dziecięce objawia się bardzo różnie i z różnym nasileniem. Niektórzy mają niedowład jednej ręki, a inni nie są w stanie nic zrobić samodzielnie. Ewa mówi, że miała szczęście – cierpi na spastyczne porażenie nóg i częściowo rąk, z przewagą porażenia lewej strony ciała. Porusza się na wózku, ale może sama jeść, sama się ubrać, umyć... Umysł ma całkowicie sprawny, a zdarza się, że choroba ta upośledza także umysłowo. Poza tym urodziła się w Warszawie – gdyby mieszkała w małym miasteczku czy na wsi, mogłaby podzielić losy setek dzieci, które nigdy nie były rehabilitowane, nie uczyły się. Niektóre z nich są ukrywane przez swoich rodziców w domach, jakby były jakimiś potworami...

Na kółkach z uśmiechem

Magdalena Malinowska-Orfinger

Wspólnota

Po ukończeniu szkoły w Chylicach wróciła do domu i okazało się, że zdobyty przez nią zawód, nie tylko nie daje jej żadnej satysfakcji, lecz także nie umożliwia podjęcia pracy zawodowej.

– Nie chciałam być introliogatorem. Z góry to sobie powiedziałam. Perspektywy na przyszłość nie były najlepsze, musiałam zacząć zarabiać jakieś pieniądze, aby wyrobić sobie rentę. Zaczęłyśmy z mamą pracować chałupniczo – wycinaliśmy smoczki z form, zgrzewaliśmy torebki plastikowe. Może wydać się to zabawne, ale byłam z tej mojej pierwszej pracy bardzo dumna. Nareszcie sama zarabiałam jakieś pieniądze.

Bardzo jednak doskwierał jej brak towarzystwa. Po kilku latach, które przeżyła w pełnych koleżanek i kolegów Chylicach, dni spędzane w domu wydawały jej się ciągnąć w nieskończoność. Dodatkowo we dwie z mamą przeprowadziły się z ciasnych dwóch pokoiów, w których żyło razem już sześć osób (siostra Ewy urodziła w 1985 roku córeczkę Kamilkę) na warszawskie Jelonki. Bardzo cieszyła się z nowego mieszkania, nareszcie miała swojej własnej, z nikim nie dzielone cztery kąty, straciła jednak tych nielicznych znajomych, których miała w kamienicy na Marszałkowskiej.

Kiedy dowiedziała się, że w jej nowej parafii zbiera się grupka osób nie-

pełnosprawnych i opiekującej się nimi młodzieży, postanowiła pójść na spotkanie. W ten sposób poznała wspólnotę *Wiary i Świata – Muminków*, jak mówi Ewa. Jest to wspólnota skupiająca wokół siebie osoby upośledzone umysłowo, ich rodziny i przyjaciół. Dzięki niej Ewa poznała ludzi upośledzonych umysłowo. A kolejne spotkania sprawiły, że poczuła się w tej grupie bardzo dobrze.

– Uczestnictwo we wspólnocie daje mi dużo radości, sprawia, że zapominam o swojej chorobie. Tutaj wszyscy są sobie równi, choć każdy wnosi do grupy coś innego...

Szczególnym wydarzeniem są dla Ewy obozy, organizowane każdego lata przez wspólnotę. Często odbywają się one w miejscach, które nie są przystosowane dla osób na wózku inwalidzkim. Trzeba codzienne pokonywać schody, drzwi łazienki, progi. Wtedy wszyscy biorą na siebie trochę jej niepełnosprawności. Już pierwsze takie wspólne wyjazdy sprawiły, że Ewa przestała sobie wyobrażać życie bez wspólnoty. I tak jest do dziś. Młodzież z grupy zaczęła z czasem coraz częściej gościć w jej domu. Zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń.

Rozpoczęły się wspólne wyjazdy, także w ukochane przez Ewę góry. Przyjaciele mieli nieraz szalone pomysły.

Kiedyś, podczas wakacyjnego pobytu w Murzasichlu, wpadli na pomysł nakręcenia filmu. Mieli ze sobą amatorską kamerę 8 mm. Ewę obsadzono w roli pierwszoplanowej. Grana przez nią bohaterka doznała wypadku, w wyniku którego zmarła. Jej ukochany, zrozpaczony, zanosi ją na cmentarz i kładzie na grobie. W kulminacyjnej scenie Ewa dostała jednak ataku śmiechu i cała praca poszła na marne. Kiedy indziej, także podczas pobytu w Murzasichlu, ale tym razem zimą, zaciągnęli Ewę na nocny spektakl *Fausta* w Teatrze im. Witkacego w Zakopanem. Przedstawienie skończyło się o pierwszej w nocy. Nie było żadnych możliwości powrotu na kwatery. Przenocowali więc na dworcu kolejowym i dopiero rano, pierwszym autobusem pojechali do Murzasichla. Ewa do dziś wspomina, jak bardzo czuła się obolała po nocy przespanej na wózku.

Wyjeżdżali wszędzie wspólnie – na tatrzańskie szlaki, na kolejne częstochowskie pielgrzymki, do kina, do teatru. Przy nich poczuła, że wózek nie musi być powodem do śmiechu. Podczas którejś pielgrzymki jasnoogórskiej, już w Częstochowie, Ewa siedziała na wózku z czapką w rękę. Przechodząca opodal starszuszka, pomyślała, że to zebrażę jakas biedna, niepełnosprawna dziewczyn-

ka i wrzuciła do czapki pieniądze. Do tej pory anegdotka ta, opowiadana podczas różnorodnych spotkań, czy to *muminkowych*, czy to w gronie przyjaciół, rozbawia całe towarzystwo.

Studia

Przyjaciele zaczęli wpływać na jej życie, motywować ją do działania. Dzięki nim zdecydowała się podjąć naukę w stołecznym *Centrum Kształcenia Ustawicznego*, w Liceum Ogólnokształcącym.

Po trzech latach nauki w indywidualnym toku nauczania zdała maturę. Rok później przyjaciele namówili ją do zdawania na studia. Wybrała *Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej* im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Po kilkuletnim uczestnictwie we wspólnocie ta uczelnia wydała się jej najbliższa. Chciała pogłębić swoją wiedzę o osobach upośledzonych fizycznie i umysłowo. Marzyła, że może kiedyś będzie mogła połączyć swoją pasję z pracą zawodową.

Studia kosztowały ją, jej rodzinę i przyjaciół bardzo dużo wysiłku. Bez zaangażowania najbliższych nigdy nie udało by się jej ich skończyć. Na początku, kiedy jeszcze nie do końca była przekonana, czy chce studiować, i uczyła się bardziej dla przyjaciół niż dla siebie, powiedzieli jej, że zajmą się wszystkim, że nawet nie będzie musiała pamiętać, kiedy ma zajęcia. I dotrzymali słowa.

– Wszyscy stawali na głowie, abym tylko dojechała na uczelnię. Wozili mnie bardzo różni ludzie. Jeden z moich przyjaciół pracował wówczas na *Stadionie Dziesięciolecia* i nieraz angażował do pomocy swoich tamtejszych znajomych. To często byli ludzie *spod ciemnej gwiazdy*, ale zawsze odnosili się do mnie bardzo życzliwie. Kiedyś zdarzyło się tak, że już naprawdę nie miał kto mnie zawieźć. Moja przyjaciółka, która była wówczas w zaawansowanej ciąży, powiedziała – nie martw się, jedziemy. I pojechalśmy. Autobusem!

Pięć lat studiów nie zaowocowało żadnymi bliższymi znajomościami. Zajęcia odbywały się w toku zaoocym – stacyjny dla Ewy nie wchodził w grę, niemożliwe było zorganizowanie codziennych dojazdów na uczelnię. Zjazdy odbywały się co dwa miesiące i trwały przez tydzień. Ludzie spoza Warsza-

wy tworzyli oddzielną grupę, podczas zjazdów mieszkali razem w akademiku i mogli poznać się bliżej. Ci z Warszawy, zaraz po zajęciach, zajmowali się swoimi sprawami. Brakowało czasu na nawiazanie przyjaźni.

Bardziej polubiła się z jedną tylko dziewczyną, którą nazwała *Laska*, bo mieszka i pracuje w ośrodku dla niewidomych, w Laskach pod Warszawą. Podczas wykładów, kiedy trzeba było dużo pisać (Ewa sama nie nadążałaby z notowaniem), Edyta, bo tak miała *Laska* na imię, robiła dla niej notatki przez kalkę. Dziś utrzymują kontakt już tylko telefonicznie, ale wcześniej odwiedzały się w domach.

Na studiach jeden tylko raz spotkała innego niepełnosprawnego studenta – niewidomą dziewczynę. Słyszała, że było ich jeszcze kilkoro, ale osobiście nie zetknęła się z nimi. Zrozumiałe jest zatem, że Ewa samym swoim pojawieniem się wzbudzała sporą sensację. Zaskoczeni bywali nie tylko studenci, lecz także wykładowcy. Większość z nich na pierwszych zajęciach patrzyła na Ewę jak na Marjanina. Bardzo to dziwi, w szczególności, że studiowała w *Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej*, w której osoba niepełnosprawna powinna być traktowana w sposób taki, jaki ta szkoła promuje, czyli zupełnie normalnie. Tymczasem często podchodzono do niej nie jak do studenta, ale jak do pomocy naukowej.

Szczególnie mocno utkwili Ewie w pamięci jeden wykładowca z pierwszego semestru studiów. Wszyscy studenci byli wówczas jeszcze mocno zestresowani, nieoswojeni z nowymi obowiązkami i nowym otoczeniem. Zajęcia z tym nauczycielem odbywały się w dużej auli Akademii Medycznej, gdzie dla osoby na wózku dostępne jest jedynie miejsce tuż naprzeciwko prowadzącego. Ewa siedziała więc z nim prawie twarzą w twarz. Jak wspomina, człowiek ten wyglądał przypominając *Śmierć* – wysoki, chudy, z zapadniętymi w szarą twarz oczyma, a do tego był bardzo złośliwy. Ciągłe o coś pytał. Szczególnie upodobał sobie studenta o nazwisku Kiszka i bardzo często zwracał się do niego – *I co pan na to, panie Kiszka?* – Ten robił się błądy i zazwyczaj zestresowany

nie mógł z siebie wydusić. Raz wykładowca zapytał się go – *Co pan miał z biologii, panie Kiszka?* – *Tuturjkę* – odpowiedział tamten. – *To i tak za dużo* – skomentował nauczyciel. Tworzył napiętą atmosferę na zajęciach. Ewa przyszła na pierwsze zajęcia lekko spóźniona i kiedy zajęła wspomniane miejsce *vis-a-vis* katedry, wykladowca, zdziwiony jej widokiem, zapytał – *A co pani tu robi? Chyba pani pomyliła pomieszczenia?* Uznał, że jest to pacjentka, która przypadkiem trafiła na jego wykład.

Swoją drogą, zawsze, kiedy Ewa miała zajęcia w budynku Akademii Medycznej, portier przy wejściu kierował ją do izby przyjęć. Za każdym razem długo musiała wyjaśniać, że jest studentką *Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej* i idzie na wykłady. Z czasem to tłumaczenie zaczęło ją nawet bawić.

Tylko dwoje wykładowców traktowało Ewę po partnersku i nie okazywało jej ani swojej wyższości, ani współczucia z powodu jej kalectwa. Jednego z nich po raz pierwszy spotkała, pokonując schody w budynku *WSPS-u* w drodze na zajęcia prowadzone na wyższym niż parter piętrze (jeszcze kilka lat temu budynek główny tej uczelni nie posiadał windy, z której mogliby korzystać niepełnosprawni). Pomagało jej kilku kolegów z roku. Nagle podbiegł do nich jeden z nauczycieli i wyrwijając im wózek z rąk, zaczął prosić – *Panowie, pozwólcie i mi, ja też chcę się wykazać*. Drugą osobą była wykładowczyni przedmiotu o porażeniu mózgowym dziecięcym, którą później Ewa wybrała na swoją promotorkę (podobno poznały się już w ośrodku na Ożarówskiej, jednak Ewa nie pamięta jej stamtąd).

Tematem pracy magisterskiej Ewy była ona sama – napisała o swoim życiu, o chorobie, jak nauczyła się z nią żyć i lubić siebie taką, jaka jest. Egzamin magisterski zdała na piątkę. Niestety teraz nie pracuje w swoim zawodzie. Nie ma odpowiednich ofert dla ludzi niepełnosprawnych. Nie uważa jednak, że wysiłek jej i tylu innych osób poszedł na marne. Po raz kolejny zrozumiała, że naprawdę dzięki sile woli może żyć zupełnie normalnie, że może robić właściwie wszystko.

Cdn.

W XX. ROCZNICĘ ŚMIERCI

Jej życie było niezwykle barwne. Siostra miłosierdzia, urzędniczka MSZ-u, sekretarka Piłsudskiego, nauczycielka języków, poetka i tłumaczka. Wilno, Petersburg, Siedmiogród, Oxford, Warszawa, Poznań – to tylko kilka etapów jej życiowego szlaku. Urodziła się w 1892 roku. Niektórzy sugerują, że była o trzy lata starsza. Zmarła 20 lat temu. **Kazimiera Iłhakowiczówna.**

Poetka na wygnaniu

Kiedy ją poznałam – w 1979 roku – poetka była już zupełnie niewidoma. Przyszłam przeprowadzić wywiad, a spędziłam z nią kilkanaście dni. Nastawiałam mleko na zsiadłe, cerowałam skarpetki, czytałam korespondencję i gazety. Iła za to opowiadała. A to jak siedziała na werandzie w willi *Atma* w Zakopanem, a naprzeciwko niej – Stefan Żeromski, do którego przechodził Karol Szymanowski miał powiedzieć – *Panie Stefanie niech pan pozna pannę Kazię, przecież ona już swój pierwszy tomik poezji – Ikarowe loty wydała!* – To K. Iłhakowicz – autor *Ikarowych lotów* jest kobietą? – zdziwił się Żeromski. Tak właśnie było w 1912 roku. Iła miała wówczas 20 lat.

Dzieciństwo

Ojciec poetki Klemens Zan – syn Tomasza Zana, przyjaciela Adama Mickiewicza i jeden z założycieli *Towarzystwa Filomatów*, adwokat – zginął tragicznie, zanim Kazia się urodziła. Klemens miał już rodzinę, kiedy poznał Barbarę Iłhakowiczównę. Ten nielegalny romans zaowocował dwiema córkami. Wychowywana była ze starszą siostrą Barbarą w Wilnie tylko przez matkę i niankę. Żyły godnie, choć ubogo. Matka znała francuski, niemiecki, rosyjski, grekę i łacinę. Dawała lekcje języków, uczyła też śpiewu i muzyki. Zmarła, mając 28 lat. Wcześniej osierocone przez oboje rodziców siostry zostały rozdzielone. Kazię zabiera do domu i adoptuje brat matki – Jakub Iłhakowicz.

Później opiekuje się nią Zofia z Zyberg Platerów Buynowa, druga przybrana matka. Mieszka w Stanisławowie, potem na dzisiejszej Łotwie w majątku w okolicach Krasławia, niedaleko Dyneburga.

Szkoła

Kazia od młodości miała niezwykle temperament. Naukę rozpoczęła w Warszawie w Liceum Platerówny przy ulicy Pięknej. Potem łąduje w Petersburgu, gdzie przystaje ze studencką cyganerią, w tajemnicy zaliczając przedmioty potrzebne do matury. Matka wysłała ją potem przez Fryburg i Genewę do Oxfordu, celem podreperowania angielszczyzny. W Oxfordzie zapisała się do *college'u*. Wkrótce panią z kresowego domu, wychowywaną na dziedzińcu, musiała zacząć łączyć naukę z ciężką pracą zarobkową. W Londynie pracuje w antykwariacie, jako sprzątaczką i pomywaczką. Wreszcie wraca do kraju. Między 1910 a 1914 rokiem studiuje na *UJ* i to od razu dwa fakultety – angielski i polonistykę. Na drugim roku wydaje *Ikarowe loty*.

Siostra miłosierdzia

Wybucho I wojna światowa. W styczniu 1915 roku Kazia jest już na froncie w polskim oddziale *Wszelchrosyjskiego Związku Ziemińskiego*. Jest siostrą miłosierdzia, krążącą w odwrocie za wojskami carskimi. Wówczas zachorowała na dyzenterię i jako ciężko chora znalazła się w Mińsku. Po ku-

racji w Finlandii i na Krymie zamieszkała w Petersburgu, pracując jako korektorka drukarni, pracując jako korektorka drukarni. Srogie doświadczenia i przebyte cierpienia spowodowały, że znów zaczęła pisać, wydała *samizdat* – tomik poetycki *Trzy strony* (1917).

Urzędniczka

Rok 1918 stanowi dla niej życiowy przełom. Wydostaje się z Petersburga, dostaje do Warszawy i tam zgłasza się do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zostaje młodszym referentem, uczestniczy w spotkaniach i konferencjach w całej Europie. Jest elegancją i dystygowana. Twierdziła w rozmowie ze mną, że własnoręcznie wysłała noty dyplomatyczne do różnych krajów zawiadamiające o odrodzeniu państwa polskiego. Po ośmiu latach w MSZ – po *przewrocie majowym* – zostaje osobistym sekretarzem Piłsudskiego w resorsie Spraw Wojskowych. Jednocześnie publikowała na łamach *Skamandra: Wiadomości Literackich*. Jej twórczość literacka musiała harmonizować z pozycją wysokiego urzędnika państwowego. *Pisanie nigdy nie było dla mnie rzeczą braną na serio. Ani jako dziecko, ani w wieku dojrzałym nie szukałam wolności w poezji, szukałam za to ulgi. Zamiast płakać – pisałam – mówiła. W okresie międzywojennym pisała dużo. Powstała słynna proza *Ścieżka obok drogi*, 14 tomików poetyckich i przekłady – *Don Carlosa* Fryderyka Schillera oraz *Prześladowanie chrześcijaństwa* Mac Cullagha.*

Znów wojna

W chwili wybuchu II wojny miała 47 lat. W sile wieku i pełna energii znalazła się nikomu nie potrzebna w Siedmiogrodzie. W 1939 roku, ewakuując się z całym Ministerstwem Spraw Zagranicznych przez Lwów i Zaleszczyki, dotarła na pogranicze rumuńsko-węgierskie i osiadła w Klużu. Powrót do kraju miała odcieć, a w rządzie emigracyjnym gen. Sikorskiego nikt nie ośmieliłby się protegować sekretarki Marszałka. Początkowo pomógł jej nasz ambasador w Bukareszcie – Roger Raczyński, darując tysiąc lei. By przeżyć,



zarabiała na życie przygodnymi lekcjami. Uciekiniarka, pozbawiona dachu nad głową, pełniąca była poczuciem winy za to, co się stało.

Do Polski

Od 1945 roku dominującą kwestią stał się dla niej powrót do kraju. Naiwnie wysłała przez ludzi, wracających do Polski, podanie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o ponowne przyjęcie do pracy. Wszelkie oferty trafiają w próżnię. Nikt jej nie chce. Oto fragment nigdzie jeszcze nie publikowanego listu Kazimierzy Iłhakowiczówny do Luli Puget z 22 lipca 1947: *Proponuję mi między innymi posadę nauczycielki języków w Lublinie, lektorki we Wrocławiu, sekretarki stacji liniarskiej w Poznaniu i sekretarki Towarzystwa Polsko-Czeskiego w Jeleniej Górze, o którym zresztą nic nie wiem. Jak się to dawniej nazywało i skąd takie towarzystwo może trzymać sobie sekretarza? I co takie sekretarz robi? Są to pytania raczej retoryczne, myślenie głośno... Albo, co się dzieje na stacji liniarskiej? Co może robić taka sekretarka Iniana? Jak dziwnie jest zaczy-*

nać życie na nowo i jaka szkoda, że się nie ma o 20 lat mniej.

Pojawiają się też kłopoty paszportowe. W wyniku konsekwentnych starań Juliana Tuwima paszport trafia jednak w listopadzie 1947 roku do Klużu.

W kraju

Na dworcu oczekiwali ją: Jarosław Iwaszkiewicz i minister Juliusz Starzyński. Wydawałoby się, że jest doceniona. Każdy dzień przynosi jednak rozczarowania. Wydawnictwa rezygnują z edycji jej tomików, wycofują się z umów o przekłady – dawne animozje i uprzedzenia znów dochodzą do głosu. Mówią o niej: sanacyjna poetessa na usługach przedwojennego reżimu. Tak jak Brandstaetter znalazła się poetka nieoczekiwanie w *Poznaniu na wygnaniu*. Mimo to szczęśliwa była z obecności wśród swoich. W stolicy Wielkopolski, która miała być tylko miejscem jej chwilowego postoju, mieszkała przez ostatnich 36 lat życia. Tęskniła do Warszawy, co symbolicznie zaznaczyła, wykupując bardzo wcześniej miejsce na swój grób na Powązkach.

Na wygnaniu

W Poznaniu uczyła języków obcych i zajmowała się pracą przekładową. Tu napisała wspaniały wiersz o Czerwcu 1956 – *Rozstrzelano moje serce w Poznaniu*. Mieszkała w jednym pokoju wspólnego mieszkania przy ulicy Gajowej – naprzeciwko zajezdni tramwajowej, jednego z głównych miejsc wydarzeń.

Kiedy ją poznałam, po mieście krążyły już anegdoty o jej przesadnej punktualności. Kiedyś zaprosiła literata i publicystę Aleksandra Rogalskiego. Ten przybył nieco wcześniej, zadzwonił do drzwi. Pani Kazimiera otworzyła mu z wściekłością na twarzy. – *Slucham pana*

– powiedziała. – *Przyszedłem z umówioną wizytą – odparł nico skonsternowany. – A na którą był pan umówiony? – Na trzynastą. – A która jest? – 12.50. – Proszę przyjść za dziesięć minut – powiedziała Iła i trzasnęła drzwiami. Literat posiadział na schodach i zadzwonił, gdy sekundnik wskazał punktualnie pierwszą. Iła otworzyła mu z uśmiechem drzwi i powiedziała – *Panie Olku, tak się cieszę, że pan do mnie przyszedł.**

Doktorat

Temperament i zdecydowanie zachowała do końca życia. Jeszcze w grudniu 1981 roku wybrany w pierwszych wolnych wyborach Senat *UAM* nadał jej doktorat honoris causa tej uczelni. Uroczystość odbywała się w domu poetki. W dużym korytarzu porożstawiano krzesła. Drzwi do jej pokoju zostały zasłonięte kotarą. Kiedy tam szłam, na schodach zobaczyłam nadzwyczajny widok. Wszyscy członkowie Senatu, z rektorem *UAM* prof. Januszem Ziółkowskim, w strojach galowych stali przed zamkniętymi drzwiami do mieszkania, spoglądając na zegarek. Kiedy wybiła punktualnie umówiona godzina, drzwi się otworzyły i weszliśmy do środka. Poetka siedziała na fotelu i co chwilę wprawiała zaproszonych gości w konsternację. Nie lubiła pompy i nadejścia. Do ówczesnego prezydenta Poznania Andrzeja Wituskiego, wręczającego jej ogromny bukiet róż, powiedziała: – *Chłopcze, przecież wiesz, że wolę czekoladki.* (sic!)

Zmarła czternaście miesięcy później – 16 lutego 1983.

Choć wzbraniała się przed nazywaniem jej poetką, mówiła: – *mam dwa zawody – siostra miłosierdzia albo urzędniczka państwowa*, to z jej twórczości do dziś pozostały przepiękne liryki i przekłady: *Anna Karenina* Lwa Tołstoja, *Wybór wierszy* Sándora Petőfi, *Poezje* Emily Dickinson, *Chlebnička* Fryderyka Dürrenmatta czy *Obietnica najwcześniejszych lat* Henryka Bölla.

Romana Brzezińska

RECENZJA

Najmłodszy przy ołtarzu

Jak Polska długa i szeroka, w każdym kościele niedzielne spotkanie z dziećmi przy ołtarzu stanowi swoiste wydarzenie. Czasami zapada ono głęboko w pamięć, czasami... wiedzno tuż po opuszczeniu nawy świątyni.

W Krakowie do dziś wspomina się Msze św. dla dzieci, które przez lata prowadził ks. Józef Tischner. W Czartoryskich niegdyś Puławach zarówno rodzice, jak i wyrosnięte dzieciaki nie mogą odżalować ks. Janusza Kozłowskiego. Głośne zaś od wielu lat spotkania z dziatwą ks. Jana Twardowskiego u Sióstr Wizek w Warszawie trafiły nawet do literatury. Legendarne też stały się działania ks. Wojciecha Drozdowicza w pierwszym, telewizyjnym programie **Ziarno** i wokół **Ziarna**.

Oczywiście, podobnych przykładów przytoczyć można by o wiele więcej. Sam uczestniczyłem, wraz ze swoimi dziećmi, w niezwykle Mszach św. na warszawskim Służewie, które na początku lat dziewięćdziesiątych prowadzili dwaj młodzi dominikanie: o. Paweł Maliński i o. Ryszard Bosakowski. Stosowali oni już wówczas w swoich kazaniach bajki, wiersze z lektur szkolnych oraz małe formy teatralne. Szczególnie zapadło mi w pamięć kazanie o. Ryszarda Bosakowskiego *O rybaku i złotej rybce*. Wszystko tam było tak, jak u pana Puszkina: ruble, złoto, pałace i tak dalej, jedynie na koniec żona rybaka zażyła sobie stać się równą Panu Bogu. I, o dziwo, stało się tak, jak chciała. Znow była uboga chata i pęknięte koryto, jak w betlejemskiej stajenke, gdzie w chłodzie i głodzie urodził się Bóg Prawdziwy.

W tym samym mniej więcej czasie, całkiem niezależnie od przytoczonych

tu przykładów, młodziutki wówczas kleryk Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie **Janusz Stańczuk** publikował na łamach pisma dla dzieci pt. **Ziarenko** bajki, które mogłyby służyć także jako materiał homiletyczny. Ostatni ślad istnienia tamtego **Ziarenka** znajduje czytelnik w styczniowym numerze **PiP** z 1990 roku. Nie należy go jednak mylić z istniejącym do dziś programem telewizyjnym... Nawiasem mówiąc, wspomniany wyżej autor bajek miał się jeszcze pojawić na łamach **PiP** przy innej okazji.

Kiedy więc trafiła do mnie książka pt. **Niedziela z dziećmi. Spotkania przy ołtarzu**, byłem przekonany, że SS. Loretańki, które wydały tę pozycję, wreszcie, po latach, zachęciły ks. Janusza Stańczuka do szerszego zaprezentowania swej twórczości. Okazuje się jednak, że na owe bajki przyjdzie nam jeszcze czas jakiś poczekać.

Tym razem mamy do czynienia z książką, która *pomyślana jest jako pomoc w tworzeniu homilii dla dzieci*, w formule *kazań aktywnych*. W zależności od potrzeb przybierają one formy parateatralne bądź minipowieści, a wszystkie – przy okazji, w celu zaktywizowania odbiorców, wprowadzają elementy gier, zabaw i konkursów. I trzeba przyznać, że – jak słusznie zauważyła dr Janina Zawadowska – *dzieci wychowane w świecie mediów coraz trudniej znoszą długotrwałe przemówienia*. Dlatego właśnie ta formuła homiletyczna może wielu duszpasterzom posłużyć jako wzorzec, wzbogacić, jeśli się tak można wyrazić, *ofertę* wartości i w sposób bardziej komunikatywny po-

móc w dotarciu do najmniejszych wiernych.

Książka pt. **Niedziela z dziećmi. Spotkania przy ołtarzu** jest w istocie zbiorem scenariuszy, które od kilku lat realizuje w parafii Dzieciątka Jezus na warszawskim Żoliborzu ich Autor. Przypniję, sam jeszcze nie uczestniczyłem w spotkaniach ks. Janusza Stańczuka z dziećmi, podczas owych Mszy św. w parafii na ul. Czarnieckiego 15. Ale muszę przyznać, że lektura tych materiałów jest tak fascynująca, iż jestem gotów namawiać wszystkich, którzy zajmują się ewangelizacją dzieci, a zatem także rodziców, by koniecznie sięgnęli do tej nowatorskiej i niezwykle ważnej pozycji. Tym bardziej, że po **Roku A** ukazał się już także tom drugi, zawierający materiały na **Rok B**.

Na koniec warto dodać jeszcze i to, że (jak pisze o swej książce we wstępie Autor): *– Po drobnych adaptacjach można ją także wykorzystać w czasie katechezy, szczególnie jeśli część zajęć poświęcamy na studiowanie z dziećmi tekstów niedzielnych Ewangelii.*

Eugeniusz Zdanowicz

Ks. Janusz Stańczuk, **Niedziela z dziećmi. Spotkania przy ołtarzu. Rok A i B**; Wydawnictwo SS. Loretańki, Warszawa 2002



fot. P. Życiński



Anna Sokół

Prawdziwa mądrość

Odłąd komputer pojawił się w pokoju Jurka, chłopak nie odstępował go na krok. Od kolegów z klasy pożyczył gry i przestał w ogóle wychodzić ze swojego pokoju. Nie kuszył go nawet zapachy niedzielnej obiady. Po prostu ich nie czuł. Zaniepokojona matka otworzyła drzwi od jego ciemnicy.

– *Cały dzień siedzisz przy tym pudle. Lekcje byś odrobił i odsłonił okno.*
– *Nic nie było.*
– *Akurat. Odłąd masz ten komputer nie zadają żadnych lekcji.*
– *Nie zadają.*
– *Co to za szkoła. Chodź wreszcie na obiad.*

Jurek wyłączył komputer. Zakuci w stalowe zbroje rycerze zniknęli.

– *O Jezu, nie zajesjowałem.*
– *Za naukę byś się wziął. Masz cztery jedynki z polskiego – powiedziała matka, naciskając klawisz...*
– *Jak się mam uczyć, skoro nie mam internetu.*
– *Czego?*
– *Internetu. Wszyscy mają.*
– *Masz przecież komputer.*
– *Ala internetu nie mam.*

Po dłuższej naradzie ojciec postanowił zainstalować internet. Kiedy wszystko było już podłączone, cała rodzina usiadła przed ekranem. Jurek uruchomił

przeglądarkę.
– *Co robisz?* – zapytała z niepokojem matka.
– *O Orzeszkowej muszę znaleźć na polaka.*

Jurek napisał nazwisko pisarki i nacisnął klawisz szukaj.
– *Ciekawe, czy coś będzie?* – Matka poruszyła się na krześle. Na ekranie ukazała się długa lista stron poświęconych Elizie Orzeszkowej.
– *Przecież to wszystko znajdziesz w encyklopedii.* – Ojciec zdjął z półki opasłe tomisko...

– *Kto dzisiaj zagląda do encyklopedii? Książki są dla frajerów. Tu jest prawdziwa mądrość.* – Jurek z czułością poklepał komputer.

Na polskim odpowiadał pewnym głosem. Zerkał na kartkę, która zapisana na równiutkim piśmie leżała obok podręcznika...

Eliza Orzeszkowa, czolowa pisarka pozytywizmu, napisała: **Nad Niemnem, Chama, Meira Ezofowicza, Emancypantki...**
– **Emancypantki** napisał Prus – poprawiła go profesor Piotrowska.
– *Jak to Prus?! Ja mam napisane, że Orzeszkowa...*
– *Widocznie źle przepisałeś.*
– *Nie mogłem źle przepisać!* – upierał

się Jurek.
– *Ale Emancypantki napisał Prus – nauczycielka uśmiechnęła się.*

Jurek wziął kartkę do ręki.
– *Ja mam wyraźnie napisane, że Orzeszkowa.*

– *To masz źle.*

Profesor Piotrowska otworzyła encyklopedię. Przy nazwisku Prus pokazała Jurkowi **Emancypantki**.

– *Tu jest błąd, Emancypantki napisała Orzeszkowa – upierał się uczeń.*

– *W encyklopedii błąd? To ty masz błąd w swojej notce.*

– *Ja nie mam błędu!*

Klasa patrzyła z coraz większym zaciekawieniem: to na starą nauczycielkę, to na Jurka.

– *Jeżeli nie wierzysz encyklopedii, otwórz swój podręcznik...*

Chłopak posłusznie otworzył książkę. I tu przy nazwisku **Prus** zobaczył **Emancypantki**. Zatrzasnął podręcznik i huknął twardo na nauczycielkę:

– *Emancypantki napisała Orzeszkowa, a nie jakiś Prus!*

– *Przecież sam widziałeś i w encyklopedii, i w podręczniku...*

– *Tam jest źle! Wiem co mówię!*

– *No właśnie, problem polega na tym, że nie wiesz, co mówisz.*

– *Ja nie mam żadnego problemu. Pani profesor za bardzo wierzy tym książkom.*

– *A ty skąd czerpięsz wiedzę, jeżeli nie z książek?* – zapytała nauczycielka.

– *Z internetu.*

– *Kto napisał te informacje o Orzeszkowej?* – spytała z zaciekawieniem profesor Piotrowska.

– *Jak to, kto napisał?*
– *Kto jest ich autorem?*

– *Nie było. Nikt się nie podpisał. A czy to takie ważne.*

– *Autor zawsze jest ważny. Na jego słowa się powołujemy i dlatego tekst musi być podpisany.*

– *Biblii też nikt nie podpisał, a wszyscy się na nią powołują – odpowiedział Jurek. Zapanowała cisza...*

Nauczycielka zdjęła okulary i długo zastanawiała się, co powiedzieć. Jurek usiadł i bez słowa zaczął składać kartkę zapisaną równiutkim piśmie drukarki **Hewlett-Packard**. ■

OKIEM ŻUKA

Skup złomu

Dramat w jednej odsłonie i z zastaną moratu.

Osoby:

Pan Nikiel – kierownik punktu skupu złomu,

imienna Księżca Niezłomnego (N),

Pan Kostek – stały klient pana Nikla (K),
Bezosebowa opinia bardzo tolerancyjna.

(Pan Kostek wchodzi do przybytku pana Nikla)

K – Panie Nikiel, jest pan tam?!...

N – Co dla pana jest cymes, dla mnie być nie musi. Co pan masz takiego?
K – Bronz. Głowa. Ciężka głowa. Trzeba zdjąć z ciężarówki. Idziem?

(Idą do ciężarówki i wyładują towary)

N – Panie, ale to jest głowa Szopena. Znam faceta z widzenia. Skąd pan to masz?

K – Dyskretny to pan znowu nie jesteś. Znalazłem na drodze. Poniewierala się i tyle.

N – Głowa Szopena na drodze?! Coś pan?!... Nie do mnie ta mowa.

K – A bo to mało głów ostatnio leci? Świata pan nie znasz? Co tu daleko szukać? Mój stryjeczny brat Heniuś to stracił głowę dla jednej panny Rózi. Sam się do tego przyznał. Mógł Heniuś to mógł i ten Żopen.

N – Skądinąd prawda, ale pan wiesz, jakie z tego mogą być przykrości. Żeby to była głowa jakiegoś inkognita to rozumie, ale tego, wiesz pan mogą poszukiwać. Teraz jest wielkie chobby dla muzyków.

K – A to muzyk?

N – Panie, muzyk to chłop, a ten podgrywał na instrumentach.

K – Panie, pan nie masz się jenteresować personaliami, kto jest kto, tylko brać na wagie. Pan nie wiesz, że te personalia som teraz tak utajnione, że nikt nie ma prawa dowiedzieć się, kto jest kto, bo jak się dowie, to sprawa sądowa i grzywna. Panie Nikiel, nie bój nic. Jak

pan będziesz cykoriant, to pan nawet na salceson nie zarobisz.

N – Paanie, ja i tak miałem dość obciachu, z tym co pan żeś poprzednio przywiozł z temi pańskimi koleżkami. Zamkli wtedy pociągi z Małyczyna do Kibiórki, bo szyny przepadli. Właściwie to tylko lewej szyny. Mówili do mnie, że to najwidoczniej przez te lewe interesy. A w oczy mnie patrzyli i patrzyli... Ale pan wiesz, że ja mam kregosłup, to ani mrugłem.

K – Co pan bendziesz mi takie gadkie wstawiał?! Lewe, jakie lewe? Szyna to jest jak polityk. Jak się jedzie z A do B to jest lewa, a jak z B do A to jest prawa. Najwyraźniej dałeś się pan zastraszyć.

N – Ja zastraszyć? Nie bądź pan dziaciak, ale jak przestały działać telefony w Kozibródkach i Gadatkowie, bo znaleźli manko w kablach, to ledwie wyjąłm kontrolę, że te miedziane kable to mnie z Czile przysłali jako pomoc dla powodziań. Jak się u nich w tem Czile chce załatwić, to się nie daje koperty jak u nas, tylko miedziany drut.

K – No to sprawa była prosta jak drut.

N – No, nie najbardziej. Była zwinięta, jak drut. Sam odwijiałem.

K – No, ale praktyczne prawde umiesz pan ludziami nawijać.

N – No, to ile pan chcesz ostatecznie za te glowizne?

K – Tylko nie glowizne! Nam powiedzieli, że to był wieszcz.

N – Wiesz pan sam, że to nie jest czysty interes.

K – Z wieszczem nie robi się brudnych interesów.

N – Panie Kostek, pan mnie powiesz żeś pan zrobił ze mną chociaż jeden czysty interes. A te kandelabry z placu konstytucji, a te łuski z poligonu, a ta tablica pamiątkowa ku czci Gagarina?...

K – Paaanie, to nawet nie było wiadomo z jakiej Konstytucji. Tylko zalegały na placu budowy. Jak by to było z placu 3. Maja to bym nigdy nie wzioł, bo to świętość.

Łuski dostałem od jednego

faceta chorego na łuszczyce, a tablica to nie była na żadnego Gagarina tylko na część jakiejś Walentyńki. Rozwiodła się, tośmy wzięli. Nie zasługiwała.

Jak pan bendziesz ciol te głowe na kawalki to krakowskim targiem, ćwarz waży pan dla mnie, a włosy dla pana. Niech strace!

N – Co to ja jestem fryzjer albo chirurg od kosmetyki? Kawalki to pan możesz se opowiadać komu innemu. U mnie to nie som żadne kawalki tylko części. Co jest wart taki nos Szopena to się okaże na wadze. Dla mnie u takiego muzyka to najdroższe som palce. Za rękie dałbym panu więcej.

K – Następną razą przyniesę panu rękie z palcami.

N – Jak dla mnie taka sama głowa to jest zwykły szmelc. Mogie zapłacić cztery stowy i ani grosza więcej.

K – Niech już bendzie moja krzywda. Bierz pan. – (Wychodzi na zewnątrz pomieszczenia i gwizdże) – Chłopaki!

Właśta do samochodu, jazdem teraz po te widly gladiatora, a potem na piłowanie nogi Sowińskiego!

N – Panie Kostek, przecież Sowiński nie ma nogi.

K – Odpilujęm tę, która mu została. Przecież powietrza nie bede panu opylać. No, chłopaki, szybciej na maszynie i jazdem! Dawaj pan te cztery stowy, bo nas bardzo suszy...

Opinia – O kurrr...tyna!

Żuk



rys. K. Kunicki

CHWILA MUZYKI

Przykazanie pierwsze

Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną – mówi Pan. A artysta myśli: – *Jakże odniosę sukces, jeśli nie podporządkuję absolutnie wszystkiego temu jednemu celowi? Przecież wiesz, Panie, że twórca, który nie odniósł sukcesu, po prostu nie istnieje. Ja mam przestać istnieć?*

I rzuca się w wir życia artystycznego. Eliminuje ze swego otoczenia to, co w jego pojęciu może mu zakłócić proces osiągania upragnionego celu. Da się wytatuować, okaleczyć, zoperować plastycznie, a nawet – w skrajnym przypadku – obedrzeć (aczkolwiek w sposób kontrolowany) ze skóry. Wszystko, oczywiście, z miłości do Sztuki. Sam, cierpiąc, obojętnie na cierpienie innych wokół siebie. Nie rozumiejąc, czemu właściwie spotyka go taka straszna krzywda, krzywdzi również swoje otoczenie. Porzuci je, sądząc, że usunie w ten sposób przyczynę swojego nieszczęścia. Popelni czasem coś, co w innych okolicznościach uznalby za niedoziemność; ale przecież świat, w którym jest zanurzony, odpowiada mu, że bez tego nie sposób zająć naprawdę wysoko.

Większość ponosi, niestety, porażkę. Jest ona tym dotkliwsza, im więcej wycierpiał kandydat na artystę. Wtedy pada w degrengoladę i frustrację. Sztuka jako bożek jest nieczuła i dość okrutna, jak każdy idol, którego nasza własna krótkowzroczność stawia na nienależnym piedestale.

To jest najbardziej zaskakujący paradoks: ubóstwiając Sztukę, w istocie szkodzimy jej, każąc jej odgrywać rolę, do której brak jej predyspozycji. Jeśli więc kochamy ją prawdziwie, w żadnym stopniu nie powinniśmy oddawać jej czci należnej Bogu, lecz przeciwnie: włączyć ją do naszego nieustającego hymnu na cześć Stwórcy. I wtedy przywrócony nam zostanie dawny głos dziecka, śpiewającego na chwałę Bożą bez przymusu zaistnienia na *Wszczęświatowym Przeglądzie Pieśni Nabożnej Idol Niebiański*.

Maria Szreder

Stanisław Michalkiewicz

Plamy na słońcu

We francuskim miesięczniku *Science et Vie*, popularyzującym naukę, czytałem pod koniec lat siedemdziesiątych, że co 11 lat występują zmiany aktywności Słońca. Autor artykułu przedstawił chronologiczny zapis tych cyklów słonecznej aktywności, a po porównaniu go z historycznymi wydarzeniami okazało się, że bardzo wiele gwałtownych wypadków dziejowych wydarzyło się właśnie w okresach podwyższonej aktywności Słońca. Nie we wszystkich przypadkach tak było, ale zależność wprost rzuciła się w oczy. Artykuł w *Science et Vie* pośrednio wspierał tezę rosyjskiego historyka Lwa Gumilowa. Badając cywilizację Wielkiego Stepu, Gumilow nie mógł znaleźć zadowalającego wyjaśnienia przyczyn, dla których jedne narody nagle zaczynały wykazywać niezwykłą żywotność, wydawać z siebie wybitnych przywódców, zakładać rozległe imperia i tak dalej, by wkrótce pogrążyć się w trwającym kilkaset lat letargu. Z tej desperacji, a może tknięty intuicją Gumilow zaczął w końcu twierdzić, że to zjawisko, które nazwał *pasjonarnością*, ma swą przyczynę we wpływach kosmicznych.

Ciekawe, że według wykresu ze *Science et Vie* potężna kulminacja sło-

necznej aktywności miała przypaść na początek lat osiemdziesiątych. Kiedy o tym czytałem, nie zanośli się na jakieś podniosłe wydarzenia, ale w sierpniu 1980 roku wszystko wyglądało już inaczej. Właśnie wtedy wybuchł w Polsce bunt *Solidarności*, który stał się początkiem końca światowego systemu komunistycznego. Wygląda więc na to, że nie powinniśmy zbyt pochopnie odrzucać hipotezy Gumilowa o kosmicznych przyczynach wielkich wydarzeń. Minęło akurat 12 lat od rozpoczęcia w Polsce ustrojowej transformacji. Czy nie zapowiada to aby znowu jakiejś zmiany oblicza świata, a przynajmniej Polski? Słońce w każdym razie znowu temu sprzyja.

Różni ludzie często zastanawiają się, co by było, gdyby tak Pan Jezus ponownie pojawił się na świecie akurat dzisiaj i jeszcze raz podjął trud bezpośredniego i osobistego nauczania rodzaju ludzkiego.

Na szczęście Pan Jezus już drugi raz nie zstąpi na ziemię w poprzedniej, ewangelicznej postaci. Przed końcem świata owszem, przyjdzie, ale już z *mocą wielką i majestatem*, więc do tego czasu nauki społeczne mogą rozwijać się bez najmniejszych przeszkód.



fot. P. Zyczeński

Jerzy Trammer

Natura jest

Graliśmy wtedy w piłkę albo na skakach zjeżdżaliśmy z góry, natomiast on się przejmował. Np. kiedy w szkole nauczyciel wychwalał postęp.

– Człowiek – objaśniał – zlikwidował zagrożenia, wyeliminował wiele chorób, a imnie zwalczy wkrótce. Zamiast w jaskini, mieszka w domu, gdzie mu przygrywa skocznie radio. Zamiast się wlec piechotą, jeździ pociągiem albo rozparty przemieszcza się tramwajem.

Piotr Skórzyński

Ból

Być może największą tajemnicą naszego świata jest głęboka więź między bólem a Dobrem. Ten, kto poznał historię i kto trzeźwo obserwuje życie, musi przyznać, że ludzie uczciwi, życzliwi innym i odważni bardzo często muszą stawiać czoła cierpieniu. I odwrotnie: moi tego świata – dzisiaj to na przykład gwiazdy filmowe lub postacie opinotwórcze – to ludzie, którzy nader często prawdę mają za nic, piękno utożsamiają z urodą, zaś dobro z odpowiednim kontem.

Najważniejsze to zrozumieć, że nasze życie ma wartość tylko wtedy, gdy jest PROCESEM NAUKI DOBRA. Tylko temu służy cierpienie, jakie nas spotyka: żebyśmy nauczyli się współczucia i wyobraźni. Tylko dzięki nim możemy postawić się na miejscu kogoś innego.

Ból jest ciosem, który rozbija nasz gorset psychiczny, obala bariery, w jakich się zamknęliśmy. Psycholodzy

W morze wybiera się parowcem, z żywołu sobie kpi. Owszem – są jeszcze malkontenci, co narzekają. Ludzie powinni – mówił – powrócić do natury. Ale natury, ha, ha, ha – cieszył się nauczyciel – natury nie ma. Zlikwidowano ją. Nie mają dokąd wrócić ci dranie malkontenci...

– Natury nie ma – szeptał ten nasz kolega. Patrzył na asfalt. – Natury nie ma – mówił. Patrzył na park przy szkole imienia Edwarda Szymańskiego. – Sądony – mówił. – Sztuczny. Natury nie ma...

Aż raz, gdy szedłem z nim do apteki na Joteyki, od strony nieba, z góry usłyszeliśmy ostry, niepokojący krzyk. Gdy zadarliśmy głowy, zobaczyliśmy klucz żurawi. Tak obojętne na hałaśliwe miasto w dole, jak gdyby go nie było, leciały prosto, przepięknie, wysoko, wytrwa-

le i odwiecznie.

– Natura jest – powiedział. Westchnął i wyprostował się.

Potem zaczął wagarować i jego mama przeniosła go do szkoły we Włochach pod Warszawą, przez co mi zniknął z oczu.

Po latach zobaczyłem go w telewizorze. Program *Uwaga* zajmował się jedną z organizacji ekologicznych. Nosiła nazwę *Natura jest*. On był prezesem. – No, proszę – ucieszyłem się – co za wytrwałość, wierność idei, konsekwencja. Na starość znalazł swoje miejsce...

Ale organizacja, jak dowiedziałem się po chwili, brała łapówki od inwestorów za odstąpienie od protestu przeciw budowom, z którymi wiązała się konieczność wycinki prastarych, pomnikowych drzew. ■

twierdzą, że co najmniej dwie trzecie przypadków raka stanowią osoby, które zaplątały się w życiu – zaś co najmniej jedna trzecia to ci, którzy podświadomie pragną umrzeć, gdyż ich życie zapętlilo się tak bardzo, iż nie czerpią już zeń żadnej satysfakcji.

Dr Bernie Siegel w książce *Życie, kochać i być uzdrowionym* pisze, że dla bardzo wielu jego pacjentów nowotwór jest jedyną szansą, by całkowicie zmienili swoje życie i uwolnili się od niewolniczej zależności...

Kiedy choroba – lub jakieś inne dotkliwe przeżycie – spada na nas, to tym samym wydobywa nas z kierunku codzienności. I wtedy właśnie mamy szansę zastanowić się, po co otrzymaliśmy życie? Czy po to, by spędzić je w konformizmie? Jeśli natomiast hołdowaliśmy egoizmowi, to teraz, widząc, jak nie-



fol. G. Gałązka

wielu ludzi wyciąga do nas dłoń w nie-szczęściu lub niepowodzeniu, mamy szansę, by zmienić naszą postawę.

Lekarze nie wiedzą, dlaczego u niektórych pacjentów dochodzi do samodzielnego wyzdrowienia, choć ich przypadek zakwalifikowano jako beznadziejny. Zakłopotani piszą o *spontanicznej remisji* i chowają tęczę do szuflady. Gdyby jednak zbadali te przypadki dokładnie, okazałyby się, że dzięki chorobie ta – skazana już – osoba mogła całkowicie odnowić swoje życie. I że temu niewytłumaczalnemu uzdrowieniu towarzyszyła jakaś modlitwa. ■

PLASTYKA

Malczewski ze Lwowa

Twórczość malarska **Jacka Malczewskiego** (1854 – 1929) była już wielokrotnie tematem artykułów i felietonów w *PiP*. Ten, zyskujący coraz większe uznanie, już nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie, malarz (sukces wystawy obrazów Malczewskiego w Musee d'Orsay w Paryżu zimą roku 2000) w swojej artystycznej spuściźnie zostawił jednak kilka tysięcy prac. Trudno więc dziwić się, że od czasu do czasu, czy to na aukcjach, czy też w prywatnych kolekcjach pojawiają się dzieła tego artysty nieznanne wcale lub odnotowane tylko na podstawie zachowanych reprodukcji i fotografii.

Takim właśnie odnowionym spojrzeniem na dzieło Jacka Malczewskiego stał się krótki pokaz jego obrazów, szkiców i rysunków w warszawskiej *Zachęcie*, jaki odbył się na przełomie grudnia i stycznia br. Zaprezentowanych tu pięćdziesiąt obrazów olejnych, piętnaście gwaszy i akwarel oraz kilka rysunków ołówkowych pochodzi ze Lwowskiej Galerii Sztuki, która pierwszy raz zdecydowała się za granicę pokazać tak obszerny zestaw dzieł tego polskiego malarza. Rzeczą zwracającą uwagę na wystawie był dość zaniedbany stan zachowania samych dzieł sztuki. Tektury, na których Malczewski często tworzył swoje olejne prace, były mocno wypaczone, ramy obrazów świeciły szczelinami i ubytkami, a całość sprawiała wrażenie, jakby obrazy te wyciągnięto przypadkiem zza starej szafy. Pytany przeze mnie o ten niepokojący stan, ważnych dla polskiej kultury dzieł, lwowski kurator Igor Chomyn przyznał, że rzeczywiście część obrazów wybrana została po raz pierwszy z zaniedba-

nych magazynów, ale według niego nie należy się tym martwić, bo najważniejsze, że w ogóle zostały uratowane.

Argument *nie do odrzucenia*. Kolejne zaskoczenie, tym razem pozytywne, to wspaniały zestaw trzech autoportretów artysty, na których Malczewski, przedstawiając postać Chrystusa, uwiecznił własny wizerunek. *Chrystus*

z *Emaus* z 1909 r., *Chrystus przed Piłatem* z 1910 r., na którym to płótnie w postaci Piłata wcielony został przyjaciel Malczewskiego, malarz i konserwator zabytków Mieczysław Gąsecki, wreszcie namalowany w roku 1912 *Chrystus i Samarytanka*.

Do wybitnych dzieł Malczewskiego należy zaliczyć też zakupiony do Lwowskiej Galerii Sztuki w roku 1978 podwójny portret Karola i Małgorzaty Lanckorońskich. Wystawa w warszawskiej *Zachęcie* była interesująca i przypominała, że we Lwowie przechowywanych jest ponad 68 obrazów i szkiców oraz 18 akwael i rysunków Jacka Malczewskiego, pochodzących z polskich przedwojennych kolekcji i reprezentujących wszystkie twórcze okresy tego wspaniałego malarza.

Jarosław Kossakowski



POLEMIKA

Sukces nie klęska

Marek Klecel w tekście: *Komu zagrożą o. Rydzyk (Powsięgliwość i Praca, nr 1, 2003 r.)* napisał: *To zdumiewające, w kraju, który, być może, jest już na krawędzi bankructwa, w którym połowa ludzi żyje na granicy niedostatku, w którym jest ponad trzy miliony bezrobotnych, a wkrótce pójdą na bruk dalsze tysiące ludzi, w kraju – po kawalku wyprzedawanym, toczonym przez korupcję i przestępczość; w takim kraju, nagle, w ciągu jednego dnia, najważniejszym problemem staje się jakieś radio, jedna stacja radiowa – katolickie Radio Maryja...*

Nie mogę pozostawić bez odpowiedzi stwierdzeń, w moim przekonaniu, błędnych, tendencyjnych, krzywdzących, będących co najmniej grubym uproszczeniem i pod wieloma względami nieprawdziwych, a dotyczących sytuacji III Rzeczypospolitej. Polska, która w 1989 roku odzyskała niepodległość, wolność i rozpoczęła odbudowywanie demokracji, nie stoi na krawędzi bankructwa. Znakomita większość wskaźników ekonomicznych jest dziś zdecydowanie lepsza niż w momencie upadku komunizmu. Kilka przykładów: – średnie zarobki wynoszą nie kilkanaście, a 400 dolarów; – wydłuża się długość życia – wówczas spadała, wzrasta liczba ludzi z wyższym wykształceniem; – gospodarka jest oparta na racjonalnych zasadach konkurencji, mechanizmów rynku, prywatnej własności; – wyraźnie poprawił się stan czystości środowiska, poprawiła jakość handlu, komunikacji, budownictwa; – wygląd naszych sklepów, banków, restauracji, kin, szkół i uczelni, a także wielu szpitali, stacji kolejowych, publicznych toalet, urzędów nie różni się wiele od tego w rozwiniętych krajach Zachodu lub jest taki sam, jak tam. (...)

Wreszcie, Polska jest dziś bezpieczna w sojuszu NATO, otoczona przyjaznymi krajami (pewnego rodzaju wyjątkiem jest tylko rządzona przez operetkowego dyktatora Białoruś). Nie istnieje Związek Sowiecki, a na jego miejscu mamy narodowe państwa, z których wiele, w tym Rosja, buduje system demokracji.

Tylko tyle i aż tyle. Bardzo wielu ludzi oddało życie, żeby tak było i bardzo wielu ludzi tego nie doczekało. Dlatego nie wolno pisać o bankructwie Polski, bo to jest nieprawda. III Rzeczypospolita to nie klęska, a wielki sukces.

Pan Marek Klecel pisze także o problemach gospodarczych o bezrobociu i nędzy. To prawda, są w naszym kraju obszary biedy, ale nie obejmują połowy społeczeństwa, dramatycznie też rośnie bezrobocie. Jest to efektem przede wszystkim 45 lat komunistycznego zacofania i rzeczywistego stanu naszej gospodarki. Szybka likwidacja bezrobocia jest niemożliwa, a ci, którzy to obiecują, zwyczajnie kłamią. Atakowanie III RP za wysokie bezrobocie oraz za trudną sytuację materialną wielu ludzi sugeruje, że gdyby nadal istniała Polska Ludowa albo gdyby do władzy doszli jacyś inni niż dotychczas rządzący politycy, tych zjawisk by nie było. Jest to w moim przekonaniu czeza demagogia.

Taki sam obraz Polski po roku 1989 (jako jednego wielkiego obszaru nędzy, głodu, korupcji, nadużyć i zacofania) od lat przedstawia postkomunistyczna *Trybuna*, która w dodatku atakuje prozachodni kierunek naszej polityki zagranicznej i jest wroga wobec przynależności Polski do NATO i Unii Europejskiej. Czym wpisuje się w moskiewską opcję tzw. *bliskiej zagranicy*. To samo pisze też Jerzy Urban. Dla komunistów i postkomunistów III RP to państwo wrogie i obce. Najlepiej było w Polsce Ludowej, zwłaszcza w okresie gdy władzę sprawował Edward Gierek, a skoro tak, to dlaczego nie przywrócić PRL-u? Jeśli odzyskanie niepodległości i wolności w 1989 roku było pomyłką, a w takim duchu pisze także Marek Klecel, to trzeba też odpowiedzieć na pytanie – co

w takim razie należy uczynić, by poprawić sytuację? Czy powrót do rozwiązań zastosowanych przez komunistów nie wydaje się logicznym rozwiązaniem?

Pod względem wrogości do III Rzeczypospolitej nie dostrzegam też różnic pomiędzy postkomunistami, *Samoobroną* i *Ligą Polskich Rodzin*. Dla wszystkich tych ugrupowań największym nie-szczęściem, porównywalnym do rozbiorów, był rok 1989. Niektórzy politycy i publicyści związani z *LPR* wprost mówią i piszą o kolejnych rozbiorach, biologicznej zagładzie narodu polskiego itp. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek takim językiem mówili o czasach Polski Ludowej, by kiedykolwiek z taką zaciekleścią domagali się rozliczenia komunistycznej przeszłości i ukarania winnych popełnionych w PRL przestępstw. Dla nich największymi wrogami są kolejne rządy III RP.

Nie zgadzam się, że jesteśmy krajem po kawalku wyprzedawanym. Obszar ziemi znajdującej się w rękach cudzoziemców nie przekracza, o ile wiem, nawet 3% i nie wykazuje tendencji wzróżnienia. Ceny domów, mieszkań i działek w Polsce są często wyższe niż w krajach sąsiednich, w tym także w Niemczech, a przepisy wymagają przy sprzedaży ziemi cudzoziemcowi każdorazowego zezwolenia MSW, a owe zezwolenia są wydawane bardzo ostrożnie.

Jako wieloletni więzień polityczny Polski Ludowej, współtwórca opozycji demokratycznej i *NSZZ Solidarność* oraz poseł kilku kadencji Sejmu w III RP ponoszę pełną odpowiedzialność za znaczną część obecnej rzeczywistości. Zdaję sobie sprawę, że jest bardzo wiele niezadowolonych, biedy, krzywdy i poczucia rozgoryczenia, ale nie można nie dostrzegać ogromnej poprawy i zmian na lepsze. Niczego nie rozwiązają i nie poprawią politycy głoszący głośno obietnice i prowadzący propagandę klęską i obce. Najlepiej było w Polsce Ludowej, zwłaszcza w okresie gdy władzę sprawował Edward Gierek, a skoro tak, to dlaczego nie przywrócić PRL-u? Jeśli odzyskanie niepodległości i wolności w 1989 roku było pomyłką, a w takim duchu pisze także Marek Klecel, to trzeba też odpowiedzieć na pytanie – co

Stefan Niesiołowski

POLEMIKA

Nowa propaganda sukcesu?

Właściwie nie powinienem odpowiadać na polemikę *Stefana Niesiołowskiego*, bo nie dotyczy ona mojego artykułu, który był obroną *Radia Maryja*.

Przy okazji polemiki Autor opublikował właściwie osobny artykuł o obecnej sytuacji w Polsce, dokonał krótkiego rozrachunku z PRL, a do tego szybkiego rozpoznania politycznego: kto jest krytyczny (w dowolny sposób) wobec III RP, jest tym samym zwolennikiem PRL; jest wrogiem – kto nie z nami, ten przeciw nam. Proste, tyle że za proste. Jeśli zaś wrzucą się do jednego worka *Samoobronę* i *LPR*, pisma: *Trybuna* i *Nie* oraz ludzi takich jak, powiedzmy, słuchacze *Radia Maryja*, to już nie jest zbyt proste, to jest wręcz nieuczciwe.

Autor polemiki oburzył się na moją ocenę sytuacji, na nieuzasadnione czar-nowidztwo i sprzyjanie w konsekwencji wrogom III RP. Znam tę prostą logikę i jej sylogizmy. Czy jednak Autor, jako polityk, nie powinien brać pod uwagę stanu emocjonalnego i moralnego, nastrojów i lęków sporej części społeczeństwa, które dla niego mogą być irracjonalne i nieuzasadnione, ale jednak istnieją. Może niech Stefan Niesiołowski weźmie tych parę moich zdań za wyraz niepokojów wielu ludzi, którzy są obecnie, mimo pozytywnych przemian, w trudnej sytuacji z różnych względów i lękają się po prostu o przyszłość swoją i swych rodzin. Polityk, który chce się kierować dobrem wspólnym, nie może tego lekceważyć, bo będzie reprezentował tylko interesy swojej klasy, co już w Polsce nastąpiło.

Autor propaguje racjonalnie dobre strony obecnej sytuacji w Polsce. Jego wykład po części mnie uspokoił, ale nie-

pokoją mnie inne strony naszej sytuacji: np. 3/4 banków w obcych rękach, wyprzedzą majątku narodowego, ostatnio – strategicznej energetyki (na razie jej pośrednika), co może doprowadzić do tego, że będziemy kupować np. tańszy prąd niemiecki, nie wspomnę o perspektywie zamykania kopalń i hut. Wszystko, rozumiem, zgodnie z logiką i sztuką ekonomiczną, ale nie z logiką społeczną i psychologiczną. Nie możemy jeszcze ludzi karać za to, że wyrażają swój niepokój. A czy Pana nie niepokoi wykup ziemi już nie na dzisiejszych warunkach, ale na unijnym wolnym rynku, czy zagwarantuje Pan, że bez żadnych zaborów nie skurczymy się do jakiejś nowej *Kongresówki*.

Oburzył się Pan na słowo *bankructwo* (opatrzone zresztą klauzulą *być może*), a czy nie niepokoi Pana ujemny bilans z *Unią* rządu 60 mld euro dodany teraz do starych długów z PRL. Ja wolę przewidywać trudności niż zadawać się optymizmem.

A czy nie niepokoi Pana, jako zasłużonego działacza niepodległościowego, demoralizacja od góry do dołu, jako skutek braku radykalnego zerwania z PRL i układów z postkomunistami od samego początku. Musi niepokoić jeden z absurdalniejszych wyników tych przemian: postkomuniści zawłaszczający całe państwo wprowadzający nas do *UE*, posługując się byłymi agentami. I wszystko *lege artis*, zgodnie z jaską logiką dziejów? Więc polityk nie może oburzać się na złe nastroje ludzi pozostawionych w bezsensownej sytuacji takiego zamętu i bezsensu, na którą do tego nie mają wpływu.

W ferworze dalszej polemiki autor

posunął się już do rzeczy niedopuszczalnych. Dla niego każdy, kto krytycznie ocenia jakieś obecne zjawiska – nowe problemy powstały przecież w ciągu ostatnich 13 lat! – staje się od razu zwolennikiem komunizmu. To niesłychane uproszczenie! Zalicza, tym samym, i mnie do owych wrogów, kojarząc z *Trybuną*, *Samoobroną*, formacją PRL.

Jakim prawem – pytam! – nic o mnie nie wiedząc, dokonuje czegoś, co jest dla mnie rodzajem donosu. Na podstawie jednego zdania mego artykułu? Czy nie zauważył dotąd, w jakim piśmie publikuję swe teksty: czy pisują tu zwolennicy PRL i przeciwnicy 89 roku?

Polemika *Stefana Niesiołowskiego* pokazuje sprawę ogólniej: pokutujące w Polsce nieszczyście myślenia i oceniania wszystkiego w kategoriach tylko politycznych według uproszczonego schematu: białe – czarne, lewe – prawe.

Polemika ta pozwala też zrozumieć nieporozumienia na tzw. *prawicy*: trudno się porozumieć i zjednoczyć, jeśli widzi się sprawy tylko personalnie, nie dostrzega się rzeczywistych, ale nie urojonych przeciwników, nie przewiduje zagrożeń i kłóci się o szczegóły, zapominając o racjach nadrzędnych.

Stefan Niesiołowski kończy swą polemikę bardzo osobistą deklaracją o swej odpowiedzialności politycznej. Szanuję go jako jednego z nielicznych ludzi byłej opozycji, którzy nie zawiedli po 89 roku, ale nie rozumiem związku tej deklaracji z moim artykułem. Nie bardzo też rozumiem, na czym ona polega i czy Stefan Niesiołowski chciałby, skoro już o tym mówi, dzielić tę odpowiedzialność na równi z postkomunistami czy też ludźmi byłej opozycji, w tym i niepodległościowej. Nie wiem, czy w Polsce istnieje w ogóle odpowiedzialność ludzi władzy. Nie widziałem jej od 4 czerwca 1989 roku, od kiedy można jej było oczekiwać. Chyba że za odpowiedzialność uznaje się ryzyko utraty pozycji w kolejnych wyborach, co chyba niewiele ma z nią wspólnego

Marek Klecel

AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

Mistrzowie życia

Muszę cofnąć się w czasie. Dwa lata temu w Warszawie na 25 lat więzienia został skazany niejaki Piotr K., zabójca z Rembertowa. Ofiara i zabójca należeli do tego samego gangu złodziei samochodów, byli też prawdopodobnie zamieszani w zabójstwo innego człowieka (jak podano w mass-mediach). To dziś, niestety, jedna z codziennych wiadomości, ale wówczas coś innego przykuło moją uwagę: reakcja matki ofiary. Matka pytała o przebaczenie mówiła do kamery: *Przebaczyć? Jak można przebaczyć komuś, kto zabił. Mój syn nie zrobił nikomu nic złego, więc i jemu nikt nie powinien zrobić nic złego...* I jak zwykle w taki sposób wypowiadają się rodziny ofiar zbrodni.

Kościół od dwóch tysięcy lat uczy przebaczenia – aż po Jana Pawła II, który swemu niedoszłemu zabójcy przebaczył już w szpitalu zaledwie kilka dni po zamachu w maju 1981 roku. Tymczasem ludzie od tysiąca lat uczeni chrześcijaństwa i wychowywani do przebaczenia (vide: *Krzyżacy czy Quo vadis?* Sienkiewicza) reagują tak, jakby nigdy w życiu o tym nie słyszeli! I ten brak umiejętności przebaczenia wskazuje na coś bardzo charakterystycznego: na brak ducha chrześcijańskiego w rodzinach.

Wróćmy do reakcji matki. Syn nie złego nie zrobił? Rzeczywiście, był to prawdziwy anioł – poza kradzieżami samochodów i udziałem w zabójstwie człowieka... Gdyby zaś matka powiedziała do kamery tak: *Bardzo ubolewam nad tym, co się stało. Trudno mi przebaczyć, jeszcze trudniej pogodzić się z cierpieniem i śmiercią syna, ale najbardziej boli mnie okoliczności jego śmierci. Nie tak go wychowywałam i nie tak wyobrażałam sobie jego życie: jako złodzieja samochodów. I tego najbardziej sobie nie mogę darować. A ponieważ syn już nikogo nie przeprosi, za niego przeproszam wszystkich, których skrzywdził.*

Wyobrażamy to sobie? Nie wyobra-

żamy? Rzeczywiście, trudno to sobie wyobrazić: i taką wypowiedź, i jej upublicznienie w telewizji. A jak długo sobie tego nie wyobrażamy – nie będzie dobrze z naszym krajem: z naszych domów będą wychodzić członkowie gangów i zbrodniarze!

Warto przypomnieć, że wcześniej uniknął kary sprawca śmierci innego złodzieja samochodów. Usiłował go zatrzymać pewien stary człowiek, uzbrojony w rewolwer; złodziej, niepomny na ostrzeżenie, zginął od kuli z tego rewolweru. Ojciec ofiary na korytarzu sądomu potrafił jedynie wyzwać sprawcę śmierci syna od najgorszych (*ty morderco!* – to było najłagodniejsze), i zapowiedział, że dalej będzie się domagał sprawiedliwości!

Podobnie było w przypadku pewnego młodego bandyty: inny stary człowiek został napadnięty przez kilku młodych ludzi, jednemu z nich wyrwał nóż i, broniąc się tymże nożem, śmiertelnie ranął napastnika. Rodzina ofiary po wyroku sądu miała do powiedzenia tylko tyle, że w sądach nie ma sprawiedliwości.

Chciałoby się zapytać sprawiedliwość – dla kogo? Ich synom już przecież została wymierzona sprawiedliwość: sami ją sobie wymierzili! Każdy dobrze wychowany chłopak wie bowiem, co go czeka, gdy wejdzie na drogę przestępstwa. A może nie wie? Może ojciec nigdy mu o tym nie mówił?

Właśnie: co mówią ojcowie? Oto nauczyciel angielskiego, a potem ksiądz wpisał dziecku z klasy II uwagę o jego nieznosnym zachowaniu na lekcjach. Co na to ojciec dziecka? Píše tak: *Uprzejmie informuję, że Patryk został uderzony przez kolegę w twarz, pięścią i z premedytacją. Jeżeli Patryk stuka długopisem w stół to jest wielka afera i wpis do dzienniczka, a jeżeli Patryk jest pobity przez innego ucznia to jest to akceptowane jako zachowanie w granicach normy. Czy w szkole dla różnych*

uczniów są różne regulaminy zachowania? Jeżeli tak, to proszę o ich przedstawienie. Tak pisze oburzony ojciec. Żądając, tak naprawdę, sprawiedliwego ukarania cudzego syna i specjalnych przywilejów dla własnego. Jakże będą owoce stosowania takiego regulaminu wychowania?

Rodzice często ustawiają się na pozycji obrońców swoich dzieci. Zaczyna się od spraw niby drobnych, a reakcja rodziców robi wrażenie rodzicielskiej miłości i troski: *Pani Dyrektor, jak Katecheta mogła postawić mojemu dziecku jedynkę? Jak Pani Wychowawczyni mogła obniżyć mojemu dziecku ocenę z zachowania? A cóż ono takiego złego zrobiło? (czytaj: To przecież prawdziwy anioł!) jak mogła Pani posadzić moje dziecko w autobusie na tym miejscu, zamiast przy oknie? Proszę Księdza, czy mój syn musi być znowu takim wzorowym ministrantem? Dziecko, jak ci ta szynka nie smakuje, to nie jedz, damy potem pieśkowi... Ot, rodzicielska miłość... Na pewno? Pod takim ciepłarnianym kloszem rośnie wążka roślinka, której wszystko wolno i wszystko się należy...*

Rodzice są przekonani, że rośnie im prawdziwy anioł! I być może nigdy nie dotrze do nich, że jest inaczej (wtedy nawet po wyroku skazującym za morderstwo powiedzą, że *ich dziecko nic złego nie zrobiło*). Albo też za dziesięć lub dwadzieścia lat przekonają się, że jest inaczej – i przyjdą z petycją do księdza, by częściej mówić z ambony i na katechizmie o przykazaniu czwartym: *Czcij ojca swego i matkę swoją*. Zwłaszcza starszym dzieciom! Będzie to jednak próżne strzępienie języka: nie – nauczymy szacunku względem rodziców, którzy dla swoich dzieci byli zawsze darmowymi parobkami i darmowymi obrońcami. A mieli po prostu pokazać, jak kocha się Boga i ludzi. A mieli być mądrymi i wymagającymi nauczycielami ucziwego życia.

Gdyby zamiast roli darmowego obrońcy, próbowali roli sprawiedliwego sędziego (i to od najmłodszych lat!) – byłby to niewątpliwie krok we właściwym kierunku.

ks. Bogdan Markowski CM

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM** przy Kurii Generalnej Zgromadzenia Św. Michała Archanioła. Dyrektor Wydawnictwa Michalineum ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:

red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717 e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252, 05-261 Marki k/Warszawy. Telefon Wydawnictwa: (22) 781-16-40.

Skład, lamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**. Grafika komputerowa: ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł. Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na konto:

**PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033**

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na czasopismo prosimy kierować na adres:

**Wydawnictwo MICHALINEUM (Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.**

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia: 1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1 2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a 3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a 4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyńia 57 5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



Wydawnictwo Michalineum szczerzy się tym, że ma na swoim koncie szereg różnorodnych pozycji książkowych o tematyce, najogólniej mówiąc, maryjnej – jak przystało na polskie, katolickie wydawnictwo. Obecnie doszła nowa pozycja związana z faktem ustanowienia przez Ojca Świętego Roku modlitwy różańcowej oraz dodaniem czwartej części zwaną częścią **ŚWIATŁA**.

Autor nowej pozycji zatytułował ją: **Odnowiony Różaniec Najświętszej Maryi Panny**. Jest to praktyczny – rzecz by można – przewodnik po modlitwie różańcowej albo – modlitewnik, z którego można czerpać najpierw ważne myśli Ojca Świętego

o nabożeństwie różańcowym, o miejscu, jakie powinien różaniec zajmować w życiu religijnym chrześcijanina. Można to śmiało nazwać teologią różańca. Autor przypomina również, że modlitwa różańcowa jest najprostszą kontemplacją osiągalną dla wszystkich. Zresztą najdłuższa część książeczki nosi tytuł: **Jan Paweł II o różańcu**. I rzeczywiście Papież daje bardzo szczegółowy wykład sensu najdrobniejszych detali tej modlitwy. Niby to rzeczy znane, ale jakże ożywione troską ojcowską Papieża i prostotą Jego wypowiedzi. Zaraz na początku znajdujemy uzasadnienie poszerzenia *koronki różańcowej* o tajemnicę światła: obejmujące życie Chrystusa od chrztu w Jordanie do ustanowienia Eucharystii. Cząstka ta rzeczywiście dopełnia dzieje Chrystusa nazwane na koronkę różańcową.

Jak przystało na solidny podręcznik modlitwy różańcowej omawiana pozycja proponuje do każdej części po pięć różnych sposobów rozważań poszczególnych tajemnic.

Nad jednym z nich chciałbym się chwilę zatrzymać, gdyż jest to sposób rozważań różańcowych z mojego dzieciństwa: Ojciec Święty zwraca uwagę na doniosłość słowa **Jeżus** w każdej *zdrowaśce*. To serce tej modlitwy. Dlatego po wymówieniu imienia **Jeżus**, zatrzymujemy się na chwilę, wspominamy odpowiednią tajemnicę, by dalej kontynuować *Pozdrowienia Anielskie*. Ten sposób podsuwa wprawdzie najkrótsze rozważania, ale uczy także uważnej modlitwy.

Na końcu tego praktycznego dziełka dodano też kilka modlitw i pieśni maryjnych. W rezultacie może ono służyć jako pomoc w katechezach, na spotkaniach modlitewnych nie tylko w *zamkniętych* grupach, lecz także dla wszystkich, którzy kochają różaniec. Tu mogą znaleźć gruntowne pogłębienie znajomości tej modlitwy i urozmaicenie jej form.

Pozycję **Odnowiony Różaniec Najświętszej Maryi Panny**, autorstwa **ks. Edwarda Daty CSMA**, Wydawnictwo **Michalineum** proponuje pod adresem:

**Wydawnictwo Michalineum
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki**

tel. 0 (22) 781-14-20, fax (22) 771 36 15
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 3,20 zł plus koszty wysyłki.